Nr. 51 (1458) Warszawa, 19 Grudnia 1908 r. Rok XXVIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i administracja Rysia 3. Telefon 73-80.

Przypominamy szanownym prenumeratorom o prenumeracie na rok 1909-ty.

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE

„Cała Polska".

„Gdzież to wy idziecie?
Jaka wam świeci, gdzie, portowa wieża?
Lub w Słowiańszczyźnie bez echa toniecie,
Lub na koronę potrójną Papieża
Piorunem myśli podniesione ślecie...
Gnacie? Znam wasze porty i wybrzeża!
Nie pójdę z wami waszą drogą kłamną —
Pójdę gdzieindziej—a lud pójdzie za mną!

J. Słowacki.

Niema bardziej spowszedniałego rodzaju uroczystości jak jubileusze papieskie. Ponieważ wstępując na Stolicę Apostolską każdy Papież jest już dość posunięty w latach, a nim osiągnie to wysokie dostojeństwo, przechodzi kolejno różne etapy kościelnej karjery — nie braknie więc sposobności do uroczystego obchodu — to rocznicy otrzymania święceń kapłańskich, to godności biskupiej, kardynalskiej — to wreszcie przy dłuższym pontyfikacie — papieskiej. Oswoił nas z tym zwłaszcza Leon XIII, którego ostatni jubileusz najprzód przyspieszono o lat kilka w obawie, że rocznicy nie doczeka, a później powtórzono, gdy jej szczęśliwie dożyć zdołał.

Serja jubileuszów papieża Piusa X-go rozpoczęła się w tym roku — i nic dziwnego, że „nasz świat katolicki" wziął w niej udział. Jest to wdzięczna sposobność do manifestacyjnego wywieszenia swego sztandaru, do zaagitowania umiłowanych haseł— wreszcie do przeglądu sił.

Zdaje się, że mimo pewnych, zrozumiałych w tym razie przechwałek, ostatnia rewja nie wypadła zbyt imponująco. Wprawdzie trzy razy w ciągu jednego dnia gromadzono różne kategorje wiernych w Filharmonji, a raz w Muzeum, osobno lud roboczy, osobno młodzież i osobno, wieczorem „tłum elegancki", jak trafnie określa *Słowo* „najwykwintniejsze sfery naszej arystokracji i inteligiencji", jednakże ogół publiczności bynajmniej tym faktem poruszony, ani zainteresowany nie był. Wielu dopiero w kilka dni później dowiedziało się o uroczystości — na której, wedle słów depeszy wysłanej do Rzymu, „cała Polska od największych do najmniejszych łączyć się miała w hołdzie dla Stolicy Apostolskiej".

Przy wszelkich tego rodzaju solenizacjach zwyczaj uświęca pewien panegiryczno-hyperboliczny ton, o tyle nieszkodliwy, o ile nie wykracza poza granicę taktu i dobrego smaku, wywołując z konieczności kontrmanifestacje.

W zasadzie nie możnaby mieć nic przeciw takiej uroczystości familijnej w kółku naszych klerykałów wzajemnie zagrzewających się do walki przeciw „podstawowym błędom naszych czasów — (jak twierdzi Pius X-ty) — wolności myśli, słowa, sumienia, wyznania i druku". Walka ich jest istotnie ciężka i wedle naszego mniemania beznadziejna; — nic dziwnego, że używają wszelkich podniet, by ją wzmocnić. Nic dziwnego, że chóry robotników chrześcijańskich śpiewały: „My chcemy Boga" — że najuczeńszy z naszych *katolickich* filozofów p. Massonius „uzasadniał w swym odczycie filozoficzną rację nieomylności Głowy Kościoła", a najgienjalniejszy z naszych *katolickich* poetów, p. Ignacy Baliński, rymem sławił „Łódź Piotrową", wyrażając płomienną tęsknotę do chwili, gdy: „będzie jeden — jak zapowiedziano — Pasterz i jedna owczarnia"!

Jakkolwiek myliłby się przypuszczając, że „cała Polska" tę tęsknotę podziela, czemu przeczą najdowodniej nowe sekty, powstające na jej obszarach, to bądź co bądź tym razem jego natchnienie mniej daleko odbiegło od rodzinnego gruntu, niż wówczas, gdy rymy swe poświęcił cesarzowej Auguście Wiktorji — błagając ją o współczucie dla dziatwy szkolnej w Poznańskiem. Nic dziwnego wreszcie, że pan W. Kosiakiewicz znalazł się całkiem na wysokości sytuacji i na cześć Piusa X-go — zupełnie zresztą w jego myśl — zagrzmiał przeciw „anarchji ducha" przeciw myśli współczesnej skażonej, zatrutej, zgangrenowanej jadem krytycyzmu...

Wszystko to jest w porządku...

Trochę mniej zrozumiałym jest, że ta filipika jubileuszowa p. Kosiakiewicza zjawiła się na szpaltach *Słowa*, pisma, które bądź co bądź mimo reakcyjnego kierunku trzymało się na poziomie wyższym niż różne *Wiary*, *Role* i *Dzienniki Powszechne*.

Gdy zaś pan W. Kosiakiewicz sławi niefortunną Encyklikę o modernizmie, jako „największą chwałę panowania Piusa X", który „współczesną myśl filozofującą, zabłąkaną na manowcach i całą ludzkość na te manowce wiodącą dosięga we wszystkich licznych jej cytadelach" — gdy cieszy się, że „wszystkie materjalizmy, ateizmy, pozytywizmy" odpędają od narodu „niby strupy z ciała zdrowiejącego po przebytej ospie"— to trudno uwierzyć, że tym wylewem obskurantyzmu zechciało skompromitować swą naczelną kolumnę pismo, które publiczność przywykła traktować poważnie.

Ale prawda: Pan Kosiakiewicz w tym samym artykule stwierdza, że „odbywa się koncentracja społecznych sił katolickich w kraju naszym" — i, zaiste, jubileusz Papieża dał nam sposobność przyjrzeć się, jak ta koncentracja wygląda. Bierze w niej udział „wszystko co jest zacnego i rozumne-

go w narodzie naszym" (słowa pana K.) — a zatem prócz związku katolickiego i chrześcijańskiej demokracji obóz realistyczny i stojący za nim „tłum elegancki", — wreszcie narodowa demokracja zgrupowana wkoło *Głosu Warszawskiego.* Ta ostatnia czyni to nietyle przez „zacność" ile przez „rozwagę" jak wnosić wolno z artykułu. poświęconego dostojnemu jubilatowi w *Głosie Warszawskim*, a podkreślającego polityczny moment uroczystości.

Miała ona manifestować naszą przynależność do „zachodniej kultury, wyrosłej na pniu chrześcijańskiego Rzymu" — mówi w tym artykule ks. Popławski i tym tłumaczy, że nawet ci co „wzięli rozbrat z kościołem, traktują ważne chwile w życiu Watykanu jako sprawę ogólną, a w najgorszym razie milczeniem pokrywają", Ks. Popławski uderza w ton katolicko-narodowy, przeciwstawia idealną potęgę Kościoła — grubemu materjalizmowi potęg mocarstwowych, gnębiących słabe narodowości, wreszcie przypomina, że jest „poza nami potęga moralna, która nie dzieli tego, co losy podzieliły" — słowem wskrzesza te wszystkie zgubne złudzenia, którymi hypnotyzowano zawsze nasz kraj w chwilach bolesnych wyczerpania i upadku, wtedy gdy: „po dniach nieszczęśliwych" „zostały smutne pół-rycerzy żywych".

I gdyby to był tylko odosobniony głos księdza P. lub innych jego kolegów, nie przywiązywalibyśmy do niego wielkiej wagi, lecz niestety — zdaje się, iż ta nowa fantasmagorja polityczna—dzięki dokonanej lub dokonywującej się koncentracji — ma być teraz solidarnie podtrzymywaną przez czynniki politycznie odpowiedzialne. Wszakże za przykładem sejmu galicyjskiego poszło Koło polskie w Petersburgu i przesłało telegraficznie wyraz hołdu Piusowi X, wszakże nic nie znaczące ciepłe słówko wyrzeczone przez Papieża do pielgrzymki polskiej, powtórzono ze szczególnym naciskiem na szpaltach wszystkich dzienników naszych i wszakże w telegramie hołdowniczym, wysłanym 8-go grudnia do Rzymu, ośmielono się przemawiać imieniem „*całej Polski*" od najmniejszego do największego"!

W tym miejscu już obowiązek nakazuje zawołać: „Gdzież to wy idziecie"?!

Ileż to już razy w ciągu dziejów naszych Polska, która się szczyciła swą misją „przedmurza chrześcijaństwa", opłacała swą wierność Rzymowi kosztem najżywotniejszych własnych interesów! Ileż to razy jako wierna służka polityki Watykańskiej zwracała nadaremnie tęskne załzawione spojrzenia ku Namiestnikowi Chrystusa, licząc na jego pomoc i obronę nietylko w imię haseł chrześcijańskich i błogosławieństw ewangielicznych, lecz w. imię drogo nabytych praw do wzajemności, i powiedzmy po prostu—wdzięczność.

W połowie ubiegłego wieku odegrał się przecież niezapomniany historyczny dramat, który wszyscy winniśmy stawiać sobie przed oczy, gdy nas z Rzymu „błyskotkami łudzą", pamiętna audjencja Mickiewicza, który błagał Papieża o błogosławieństwo dla sztandaru polskiego w wojnie o niepodległość Włoch. Papież odmówił ze względu na obce ambasady, „Chrystus nie oglądał się na ambasady"—odpowiedział poeta.

Goryczą wezbrało serce tego, co kochał i cierpiał za miljony, co pierwszy głosił chrystusową misję swej męczeńskiej ojczyzny, a potym stał się najsurowszym sędzią „oficjalnego Kościoła". „Nieruchomość została wyniesiona do znaczenia zasady przez tego z papieży, który zdawał się być najmniej nieprzyjacielem reform. Rzecz widoczna, że Pius IX jest zdecydowany poświęcić wszystko, aby zachować w dawnym stanie to, co on nazywa Kościołem t. j. personel, posiadłości i przywileje kleru". Doszedł on do wniosku, że Kościół oficjalny zawsze pogodzi się z każdym despotyzmem katolickim, ateistycznym czy mahometańskim, gdyż chodzi mu nie o jego misję religijną, lecz o utrzymanie władzy. Późniejsze wydarzenia aż nazbyt jawnie dowiodły słuszności tego twierdzenia. Stolica apostolska nigdy nas nie uchroniła przed żadną klęską nawet wtedy, gdy to było w jej mocy i w zakresie jej obowiązków. W pruskim zaborze, gdy lud polski w czasie kulturkampfu z całym poświęceniem i ofiarnością walczył w obronie jej słusznych czy mniej słusznych pretensji, po ustaniu tej walki nie uchroniła go nawet od narzucenia polskim dzieciom niemieckiego pacierza. I tak było zawsze i wszędzie.

Nie zapomnieliśmy jeszcze chyba opublikowanej przed 3-ma laty encykliki Piusa X-go do Polaków, encykliki tak pełnej fałszywych oskarżeń i nieuzasadnionych zarzutów (zarzucała nam urządzanie pogromów żydowskich), że aż przestraszyła światlejszych biskupów polskich, którzy pospieszyli podszepnąć Papieżowi sprostowania i wyjaśniające komentarze.

Na każdy adres hołdowniczy i błagalny— a ileż takich adresów wysyłali nasi bracia w Poznańskim — otrzymywali Polacy zamiast poparcia i orędownictwa tylko gołosłowne błogosławieństwo, po którym jeszcze nieodmiennie następowała jakaś wymiana listów z cesarzem Wilhelmem, lub jakaś oficjalna audjencja dygnitarza pruskiego dla zamanifestowania, że sentymenty dla Polaków bynajmniej na politykę Watykanu względem Niemiec nie wpłyną.

Powtórzyło się to i po ostatnim przyjęciu polskiej pielgrzymki, o czym tendencyjnie milczą ci, co na temat słów papieskich snują kołysankę usypiającą czujność i odporność narodu.

Usiłują zatrzeć w pamięci ogółu i ten fakt, że obecny Papież, — jest Papieżem trójprzymierza, że wybór jego na Stolicę Apostolską, nieprzewidziany przez nikogo, dokonał się pod naciskiem pośrednim Niemiec, bezpośrednim Austrji, która dla swego celu posłużyła się głosem kardynała polaka — Puzyny, maskując tym sposobem grę dyplomatyczną Niemiec, które nie chciały użyć niepopularnej osobistości kardynała Koppa. Solidarność obu tych kardynałów objawiła się wkrótce potym w fakcie jednomyślnego szykanowania polskiego działacza na Górnym Śląsku. Znowu drobny epizod świadczący, jak mało nasze narodowe sprawy na poparcie władzy duchownej liczyć mogą. Nasza katolicka prawowierność, jako czynnik polityczny zawsze Kościołowi przynosiła korzyści, narodowi straty. My zaś, niepomni wszystkich dotkliwych nauk historji, wciąż na Rzym tęskne zwracamy oczy, wciąż łakniemy błogosławieństwa tej potęgi o której jeszcze Słowacki z przerażeniem wspominał, że „Ten okropny duch żegnając—grzebie".

I. M.

Ignacy Mucha.

Z RAPORTEM.

(Ciąg dalszy).

Następny papier był raportem ze szpitala miejscowego w Chabarowsku, donoszący o samobójstwie zarządzającego apteką. Samobójcę znaleziono w mieszkaniu przy książkach aptecznych, rozłożonych na biurku. Tragiedja ta miała swą historję. Kilka komisji badało nieszczęśliwego magistra farmacji i jednogłośnie uwolniły go z powodu silnego rozstroju nerwowego, wywołanego przez nostalgję. Lecz pan inspektor okręgu medycznego stale odmawiał, zmuszony wreszcie zgodzić się na uwolnienie, wynalazł kruczek, który w niwecz obrócił zapatrywania komisji. Napisał bowiem na raporcie komisji rezolucję: „Aptekarza Hartensa, zgodnie z orzeczeniem komisji, *uwolnić natychmiast*, po przedstawieniu przez niego spisu inwentarza głównego składu aptecznego oraz zdania rachunków z wydanych i pozostałych materjałów aptecznych". Pracę tę można było wykończyć, zużywszy, conajmniej, pół roku czasu. Trawiony tęsknotą, nieszczęsny aptekarz po całodziennej pracy w aptece zabrał książki do domu, iżby po nocach w dalszym ciągu przepisywać, lecz nie wytrzymał i kulą rewolwerową zamknął rachunki.

Dla pana inspektora był to wypadek „nieprzyjemny". Plotki powiększają wszystko i z chorego nerwowca robią zaraz „ofiarę". Lekki skurcz przeszedł po twarzy Szelestowa, który z przesadnym nieco gniewem zawołał: „Co za nieporządek! Apteczne książki, które powinny być stale w aptece, znalazły się pokoju samobójcy. Wydać najsurowsze rozporządzenie, ażeby przepisy prawa, co do pozostawania książek rachunkowych w odpowiednich gmachach, były szanowane. Rachunki pozostałe sprawdzić"!

Poczym przeszli nad trupem do porządku dziennego i odczytywania następnych papierów.

Naczelny lekarz szpitalu 2-go polowego w Nikolsku donosił o powstaniu epidemji tyfusu brzusznego wśród załogi i personelu szpitalnego i o środkach, jakie zastosował w celu przerwania epidemji.

Bratnikow odczytał wiadomość głośno i odłożył papier na bok, chcąc wziąć następny.

Szelestow ironicznie zauważył:—„no i cóż, znajdujesz to pan w porządku? Ach, Pawle Borysowiczu, kiedy z Was będzie prawdziwy lekarz wojenny? A jeszcze prosi o wyższą rangę i o stałą posadę! Czy Pan nie rozumiesz, w jakie bagno chcą mię wpakować, przez ten niby to niewinny papier? Epidemja tyfusu, a jeszcze w listopadzie?! Wtedy, gdy we wszystkich papierach urzędowych wyraźnie stwierdziłem, że stan sanitarny armji jest doskonały i że epidemji niema! Lecz to tych panów cywilnych nic nie obchodzi, że mię spotkać może wymówka, a nawet ostra nagana za epidemję, za zarazę! Nie rozumiem tylko tego naczelnego lekarza. Któż to taki?

Czy solidaryzm jest niejasny?

Zewsząd słyszę zdanie, że solidaryzm jest niejasny. Na czym polega mianowicie ta niejasność, nikt mnie dotąd nie objaśnił. Niemniej „niejasność" solidaryzmu przechodzi z ust do ust i niebawem może się stać t. zw. utartą prawdą. Wiemy, co sądzić o prawdach utartych, a niejasnymi wydawały się zawsze najjaśniejsze zdobycze ducha ludzkiego. Wszakże czas już jest rozsiać chmury nieporozumień, które mogą istotnie zaciemnić nową myśl.

Rozmiary artykułu są ograniczone. Z konieczności rzeczy więc opuszczam wszystkie filozoficzno-przyrodnicze rozważania, leżące u podstaw teorji solidarystycznej i wchodzę in medias res chwili obecnej.

Solidaryzm, dziecko haseł pierwszej republiki, przyjmuje zasadę wolności i równości narodów. Sądzi on, iż szczęście jednego narodu nie jest zmniejszone, lecz jest spotęgowane przez szczęście innych narodów: im rozumniejszych mamy sąsiadów, tym więcej się od nich nauczyć możemy; im bogatszych, tym większą ilość naszych produktów nabywać oni będą. Wprawdzie wytwarzanie takich produktów fabrycznych, które w innych krajach już są wytwarzane, będzie dla krajów zacofanych połączone z pewnymi trudnościami,—lecz zato otwiera się przed nimi perspektywa dobrego zbytu produktów pierwszej potrzeby (rolnictwo, ogrodownictwo), produktów wymagających bliskości plantacji (cukrownictwo, browary), oraz takich, które są wyrabiane tylko w danym kraju, lub też takich, które dany kraj nauczy się wytwarzać równie dobrze lub lepiej, niż inni. Przemysł krajowy w stosunku do zbytu krajowego ma zawsze naturalny awantaż przestrzeni: bliskość.

Pod względem umysłowym—naród wolny wzbogaca swojego ducha i jego zdobycze w tej chwili stają się udziałem innych narodów. Pod względem ekonomicznym — narody zwolnione od pancerzy celnych i wzajemnie się przenikające — wytwarzają w ostrej atmosferze międzynarodowej konkurencji przedsiębiorstwa solidne, zbrojne w najnowszą technikę, zyskowne, a jednocześnie, przez silne zapotrzebowanie produktów pierwszej potrzeby, podnoszące, podstawę wszelkich bogactw, rolnictwo.

Zasada polityczna wolności równych narodów i zasada ekonomiczna wolnej wymiany, aczkolwiek silnie poparte przez argumentację solidarystyczną, nie są jednak tym nowym słowem, które dał ludzkości solidaryzm.

Najgłębszą skibą przeorał solidaryzm pole stosunków społecznych. Człowiek, każdy człowiek, ma prawo do bytu i prawo do wiedzy. Prawo do bytu oznacza zaspokojenie niezbędnych potrzeb jednostki, a o tym, co jest niezbędne, decyduje higjena. Prawo do wiedzy oznacza otrzymanie wykształcenia, odpowiedniego do zdolności. Niższe, ogólne wykształcenie jest odpowiednie dla każdych zdolności, a o wyborze wyższego, zawodowego wykształcenia decydować winno zamiłowanie jednostki, pilnie podpatrzone przez umiejętnego pedagoga. Prawo do bytu i prawo do wiedzy wynika nietylko z uczuciowych pobudek braterstwa ludzkiego, na których je opierali wielcy twórcy współczesnej demokracji; jest ono również postulatem interesu publicznego. Istotnie organizm ludzki, osłabiony głodem lub niedostatecznym odżywianiem się, z łatwością poddaje się chorobie, a ta udziela się innym ludziom. W końcu chorego biedaka umieszcza się w szpitalu, gdzie mu społeczeństwo, w obawie rozszerzenia zarazy, udzieli na swój zbiorowy koszt strawy i lekarstwa. Gdyby społeczeństwo wcześniej pomyślało o zaspokojeniu głodu biedaka, zyskałoby jednego więcej pożytecznego członka, a oszczędziłoby sobie kosztów leczenia w szpitalu.

Zbrodnia jest również niejako utajona w nędzy. Więzienie toć jest właściwie zakład, który dostarcza bezpłatnie, na koszt ogółu, mieszkania i pożywienia. Nędzarz może się dostać do tego zakładu tylko za cenę hańbiącego stygmatu przestępstwa, a więc, doprowadzony do ostateczności, popełnia przestępstwo. Społeczeństwo wydaje miljony na utrzymanie więzień, więźniów i całego aparatu sądowo-administracyjnego połączonego z tą instytucją, którą słusznie nazwano „uniwersytetem zbrodni". Gdyby społeczeństwo wydawało połowę tych miljonów na bezpłatne obiady i na bezpłatne mieszkania—w zimie szczególniej,—w więzieniach znalazłaby się tylko garstka wyjątkowo zdegienerowanych osobników. Zwykli biedacy, którym chwilowo powinęła się noga, zachowaliby wdzięczność dla swoich braci-ludzi, którzy im nie pozwolili zginąć w ciężkiej chwili i tymbardziej unikaliby wszystkiego, co mogłoby ich zaprowadzić do „uniwersytetu zbrodni". Ofiarą przestępstwa może paść każdy, więc wszyscy muszą zwalczać przestępczość, a najskuteczniej ją się zwalcza, zasypując jej źródło: nędzę.

Zaspokojenie niezbędnych potrzeb jednostki usuwa nędzę. Nędza jest matką choroby i zbrodni. Zbrodnia jest także chorobą, tylko chorobą moralną. Ofiarą choroby jednego osobnika, dzięki naturalnemu faktowi współzależności zjawisk, może paść każdy inny. A więc wszystkie osobniki ludzkie, czyli całe społeczeństwo, w interesie każdego i wszystkich, powinno zaspokoić niezbędne potrzeby każdej takiej jednostki, która o własnych siłach tego nie robi. O praktycznych wskazówkach, płynących z tych zasad, niepodobna tym razem mówić.

Można niepodzielać tych poglądów, lecz co w nich jest niezrozumiałym—doprawdy nie wiem.

Ciemnota jednostki jest także niebezpieczeństwem publicznym i usunięcie jej leży w interesie publicznym. Czyż nie jest jasnym, że człowiek nieoświecony nie zdoła, pomimo najlepszych nieraz chęci, być dobrym obywatelem kraju, dobrym pracownikiem na niwie obranego zawodu? Przecież u nas szczególniej, gdzie fuszerka, brak poczucia obowiązku, dyletantyzm rozpanoszyły się na wszystkich polach pracy ludzkiej — prawda ta bije w oczy.

O ile nędza i ciemnota jednostki są niebezpieczeństwem publicznym, o tyle zamożność i oświata jednostki są dobrodziejstwem publicznym. Człowiek zamożny ma większe potrzeby i dla zaspokojenia ich musi pobudzać cudzą twórczość. Człowiek rozumny wykona dobrze każde zadanie, którego się podjął.

Dalej, przenosząc się na pole stosunków międzyklasowych, solidaryzm stwierdza oczywistą prawdę istnienia pewnych wspólnych interesów pomiędzy różnymi klasami. Nie przeczy on, i *nigdy* nie przeczył, że obok interesów wspólnych są i interesy sprzeczne różnych klas. Lecz te interesy sprzeczne, rozważane na tle wspólności innych interesów, najkorzystniej dla obu stron dają się rozwikłać nie drogą walki, lecz drogą *umowy*, przy zupełnym oczywiście równouprawnieniu kontrahentów.

Pracodawca nie traci na podniesieniu zarobków pracownikom i na skróceniu dnia roboczego, bo podniesione zarobki robotników wzmogą ich stopę życiową, wywołają zwiększenie zapotrzebowania produktów, stworzą ów wewnętrzny rynek zbytu, najcenniejszy, bo najbliższy dla przemysłu. Krótka praca jest znów wydajniejszą, człowiek zmęczony pracuje źle. Słusznie powiedziano, że angielski przemysł zdobył świat krótkimi dniami roboczymi. Naturalnie, że, przy wprowadzaniu tych reform, niezbędne jest, jak we wszystkim, zachowanie pewnej miary, zależnej od warunków i okoliczności. Lecz iść do celu, zachowując miarę — to nie znaczy stać w miejscu, przeciwnie, znaczy to iść jak najszybciej.

Z drugiej strony rozkwit przemysłu, zyskowność przedsiębiorstw leży w interesie pracowników, gdyż zapewnia im pracę i płacę, oraz umożliwia skrócenie pierwszej i podwyższenie drugiej.

— „Były młodszy lekarz pułku izmaiłskiego, Żdanow" — odpowiedział Bratnikow.

— No, rozumie się — młokos. I ten jeszcze urzędowo donosi o epidemji tyfusu brzusznego i to w listopadzie; a przecież ma dla takich chorych odpowiednią rubrykę „katar żołądka i kiszek", „zapalenie kiszek i otrzewny" wreszcie „inne choroby tej grupy" i może wykazać je w ten sposób. A czyż oni mogli stwierdzić tyfus brzuszny naukowo? Teraz mają przecież jakieś tam bakterjologiczne badania do tego, na szczęście, że niema ich czym u nas tu robić, bo by mi zaraz setki epidemji rozmaitych wynaleźli. Chce dogodzić władzy administracyjnej, karmi służbę szpitalną i rekonwalescentów tanią rybą, podejrzanej wartości, zamiast drogiego mięsa, zbiera „sumy ekonomiczne", a mnie urzędowo donosi w listopadzie o tyfusie brzusznym. Poczekaj! Dam ja ci tyfus brzuszny! Siadaj pan i pisz!

„Do lekarza naczelnego 2-go polowego zapasnego szpitala w Nikolsku":

„Zjawienie się tyfusu brzusznego, w zarządzanym przez Pana szpitalu, w tak nieodpowiedniej porze roku (listopad) jest objawem niezrozumiałym, dowodzącym nieodpowiedniego zarządzania gospodarstwem, na co zwracam szczególnie pańską uwagę, prosząc o uporządkowanie gospodarstwa kuchennego. Jednocześnie przepisuję Panu zebrać komisję pod pańskim przewodnictwem i zbadać, czy epidemja, o jakiej Pan donosi jest rzeczywiście tyfusem, czy też zwykłym katarem żołądka i kiszek i w każdym razie rozkazuję Panu epidemję przerwać, za co czynię Pana osobiście odpowiedzialnym".

Bratnikow pisał, a na twarzy malowało się coraz większe zdziwienie, aż szef, widząc to, dodał z uśmiechem ironicznym: „a wy, Pawle Borysowiczu, możecie od siebie napisać w liście, rozumie się prywatnym i *strogo konfidencjonalnym*, że zebrana komisja ma orzec, że tyfusu brzusznego nie było i niema".

Teraz dopiero zrozumiał Bratnikow swego szefa i zaczął nietylko się go obawiać, lecz podziwiać i... szanować.

Odczytywanie następnych papierów szło już dość szybko i gładko. A treścią ich było: przenosiny lekarzy z miejsca na miejsce, na pierwszy rzut oka niczem nieumotywowane, a jednak zwykle oparte na jakimś „donosie", na jakiejś plotce: duże cięcia i drobne ukłucia podwładnych, śmiertelne zejścia u rzekomych symulantów i symulacje u rzekomo ciężko chorych, narzekanie na brak środków lekarskich, materjałów opatrunkowych, a zwłaszcza środków przewozowych dla rannych — wszystko to było załatwione prędko. Bo czegóż się tu zastanawiać? Są przepisy i odpowiedni paragraf statutu wojennego należy zastosować. A że niektóre przepisy pozostały jeszcze od czasów Piotra Wielkiego, o tym niech pomyślą... ci panowie z Petersburga.

W miarę pomyślnego załatwienia papierów, Bratnikow począł zwolna przychodzić do lepszego nastroju i nadziei, że dopłynie do portu szczęśliwie, wyjdzie i pozostawi szefa w dobrym humorze. Pozostał już tylko jeden ostatni papier o treści bardzo niewinnej.

(d. n.)

Wobec tych interesów wspólnych, wobec krzywdy, jaką wyrządza bezrobocie jednym i drugim, interesy sprzeczne mogą i powinny być załatwiane drogą umowy, bez przerwania ciągłości pracy. Strejki i lokauty są nieszczęściem dla pracodawców i pracowników, jak i dla całego społeczeństwa. Powinny być zaniechane, jako barbarzyńskie środki załatwiania sporów i powinny być zastąpione przez umowę zbiorową i sąd rozjemczy.

Dalej krytycy solidaryzmu zarzucają mu, że nie bierze pod uwagę ewolucji. Istotnie: żaden solidarysta nie opisał dokładnie ustroju ekonomicznego, jaki będzie w roku pańskim 2154-ym. Solidaryzm nie przesądza kwestji, czy rozwój ekonomiczny pójdzie po linji rozwoju przedsiębiorstw państwowych lub municypalnych, czy też po linji rozwoju wolnych stowarzyszeń. Popiera on jedne i drugie, gdyż instytucje te, rządząc się zasadami wybieralności, odpowiedzialności zarządu przed ogółem, realizują postulaty demokracji w dziedzinie ekonomicznej. Popierając je, kładzie wszakże główny nacisk na uzdolnienie tych nowych instytucji do wykonywania funkcji niezbędnych społecznie lepiej, niż dotąd te funkcje były wykonywane. Żąda więc, aby kolej żelazna państwowa, jeżeli ma zastąpić prywatną kolej żelazną, była lepsza i tańsza od tej ostatniej. Żąda, aby kooperatywa spożywcza, o ile pragnie zastąpić prywatny handel, sprzedawała taniej i dawała lepszy towar, i t. d. Chodzi o to, aby postęp był naprawdę postępem, nie zaś skakaniem o sto kroków naprzód, aby potym cofać się w popłochu stopięćdziesiąt kroków w tył. Całe zagadnienie dalszej ewolucji ekonomicznej solidaryzm uważa za drugorzędne, za odleglejsze w porównaniu z palącym zadaniem walki z nędzą i ciemnotą. Jest też przekonany, że, po zwalczeniu nędzy i ciemnoty, dalsza ewolucja ekonomiczna dokonywać się będzie szybko, a bez zadawania komukolwiek bólu w istotnym znaczeniu tego wyrazu. Solidaryzm nie wyłącza również możliwości rozwoju ekonomicznego po jakiejś nowej linji, np. rozwoju po linji wolnych stowarzyszeń, uzupełniających własność prywatną, — typu spółek rolniczych lub rzemieślniczych. Różnorodność flory ekonomicznej, która w naszych oczach powstaje i rozwija się, nie uprawnia do żadnych stanowczych przepowiedni.

Wreszcie łaskawie ochrzczono solidaryzm „ideologją radykalnego odłamu mieszczaństwa". Przeciwko takiemu określeniu należy kategorycznie zaprotestować. Doktryna solidaryzmu, jak i wszystkie inne bez wyjątku doktryny społeczne, została sformułowana przez ludzi inteligientnych, lecz stosuje się ona do wszystkich ludzi, do wszystkich klas. Zasadnicze zadanie solidaryzmu, zwalczenia nędzy i ciemnoty, acz kolwiek niezmiernie ważne dla ludzi zamożnych, jest jeszcze ważniejsze dla ludzi niezamożnych, których nie można zbawiać wbrew ich woli. W stosunku do ewolucji— solidaryzm sprawia, iż kraje, w których jego nauka zjednała sobie liczne rzesze zwolenników, nie gniją w cuchnącym bagnie zacofania, ani też nie konają w rozpaczliwych konwulsjach lunatycznych wzlotów do raju ziemskiego. Solidaryzm nie jest własnością jakiegoś „odłamu mieszczaństwa". Solidaryzm jest wszechludzki. Kto go [illegible] zrozumieć, ten go naturalnie nigdy nie zrozumie. *Może* go zrozumieć każdy, kto gorąco pragnie lepszego jutra ludzkości.

Jerzy Kurnatowski.

PAMIĘTAJCIE O WPISACH SZKOLNYCH.

Blok zmartwychwstaje...

(Dokończenie).

Znana formuła radykalizmu—*pas d'ennemis à gauche, pas d'amis à droite* — jest właśnie wyrazem lapidarnym nowej *polityki społecznej*, która, reagując sympatycznie i czujnie na wymogi najszerszych sfer — zadaje śmiertelny cios nadziejom reakcji i zasadzkom nieprzejednanych krańcowców. To też posiada wrogów zaciekłych z obu stron.

Należy przyznać bowiem, że jeżeli skrajna prawica oceniła rychło groźną potęgę radykalizmu i uznała go za najniebezpieczniejszego wroga reakcji, to z drugiej strony, niecierpliwe, bezładne, anarchizujące kohorty ulicznych demagogów zarzuciły go zrazu gradem niesłusznych podejrzeń, aby przyznać nareszcie, że nienawidzą radykalizmu dlatego właśnie, iż *odbiera im rację bytu.*

Istotnie — jakim może być stosunek takich np. herweistów, do metody, która obraca w niwecz frazes rewolucyjny, realizując stopniowo rewolucyjną treść? Kryje się tu zasadnicza sprzeczność taktyki, filozofji i temperamentu. Radykalizm — zwłaszcza ten jego odłam, któremu przewodzi Jerzy Clemenceau — łączy pierwiastek postępowy i twórczy z chłodnym pesymizmem, płodem wysokiej kultury i przenikliwego znawstwa dusz. Ostrożny i ścisły, woli on stąpać po ziemi, niż bieżyć po obłokach; to też dokonywa serji Herkulesowych prac, gdy nieopatrzne wzloty entuzjastów kończą się *zawsze* Ikarowym upadkiem.

W swych niezliczonych artykułach, przemowach i studjach, które tworzą dziś ze 25 sporych tomów — Clemenceau rozsiał złote błyski nowej polityki, z każdym dniem zyskującej zapalonych stronników. Umiłowanie Ludzkości, wiara w tryumf rozumu wyzwolonego, który wespół z postępującą ciągle techniką zadowolni kiedyś wymagania etyki społecznej, wznosząc gmach doskonalszego współżycia — jednoczy się w tych pracach z cudownym pojmowaniem *człowieka-zwierzęcia*, z zimną, okrutną nawet rezerwą wobec wiadomych skłonności tłumu, który łatwiej pchnąć do złego, niż do dobrego uczynku.

*

Radykalizm jest polityką ulepszeń i reform, nieograniczonych w perspektywie żadnym dogmatem, lecz w wykonaniu zależnych od podwójnego motywu: miejsca i czasu. W myśl tej zasady wszelka reforma będzie wówczas jedynie skuteczną i trwałą, jeżeli zjawi się we właściwej chwili i uzgodni z umysłowością i charakterem danego środowiska. Stąd też pochodzi ów nacisk, kładziony przez Clemenceau na potrzebę harmonji pomiędzy rozwojem jednostki, a przemianą urządzeń społecznych. Postęp czysto mechaniczny nie może wyprzedzać zbytnio duchowego postępu, gdyż wywiązuje się stąd nierównowaga, która grozi *reakcją*. Usposobiony, jak mówiłem, bardzo pesymistycznie względem *jednostki* i *tłumu*, radykalizm czujnie — nazbyt może czujnie — baczy na to, by każdy wniosek parlamentarny zastał umysły gotowe, jak świeże ziarno zastaje glebę uprawną. Sposób to czysto masoński, świadczący o wysokiej kulturze i wytrawności sfer, które umieją osiągnąć w sztuce współrządzenia rzecz najbardziej mozolną i najtrudniejszą: *rytm postępu.*

* *

Lecz te motywy ogólne nie wyczerpują istoty radykalizmu francuskiego: jest on przedewszystkiem teorją *republikańską*, to też, nie potrzebując szukać prawd oderwanych, zasila się u rodzimych, potężnych i świeżych źródeł. Rzeczpospolita francuska jest dziś rzeczpospolitą radykalną *par exellence.* Wrogowie radykalizmu muszą atakować też i „Marjannę" we frygijskiej czapce, posuwając się do daleko idących wniosków. Bezwzględna negacja *á la Hervé* prowadzi niechybnie do napaści na powszechne prawo wyborcze, parlamentaryzm i patryjotyzm, wskutek czego budzi się dylemat: *Rzeczpospolita, czy Rewolucja?*

Samo postawienie tej kwestji jest już jej rozwiązaniem: Rzeczpospolita wychodzi z dylematu zwycięsko... Sama będąc owocem poczwórnej rewolucji, zdobyta z mozołem krwawym w ciągu stu lat zajadłych walk z potężną reakcją — Rzeczpospolita Francuska jest nieocenioną placówką postępu i zawiera w sobie ogromny zasób pierwiastków dodatnich i dużo sił żywotnych. Niepowołane pióra w naszej prasie nadały jej odrażające oblicze sekutnicy; jest to oszczerstwo. Francja ma twarz uśmiechniętą i młodą.

* *

Olbrzymi posąg na jednym z placów paryskich wyobraża klasyczną postać kobiecą w harmonijnych zwojach greckiej szaty; u podnóża granitowy lew wznosi czujnie ogromną kudłatą głowę: to *suffrage universel.* Rzeczpospolita nie potrzebuje innej obrony nad *instynkt demokratyczny.* Radykalizm jest wyrazem tego instynktu, rozszerzonego ku dziedzinie społecznej.

Jesteśmy dobrymi socjalistami — oświadczył radykał Sarrant na kongresie w Dijon — lecz nadewszystko jesteśmy republikanami. I Rzeczypospolitej nie pozwolimy zabić ani anarchistom, ani klerykałom.

Lecz broniąc ją wobec wszystkich wrogów, nie dajmy zaślepić się gniewem czy namiętnością. Potrafimy odróżnić armię proletarjatu od garści agitatorów. Rzeczpospolita krwią ludu przypieczętowała swój pakt społeczny; chcieć wynieść ją poza nawias ideałów ludowych — znaczy to przeoczać, podrzeć Historję"... „Mamy niepłonną nadzieję — dodał Sarrant — że po końcowym doświadczeniu, uczynionym przez partję socjalistyczną w ciągu 2 lat niefortunnej taktyki „katastrofizmu" — partja ta nie będzie zaciekać się dalej w swym opłakanym błędzie. Droga otwarta: od niej jedynie zależy obrać kierunek. Naszym obowiązkiem jest, cokolwiek nastąpi, oświadczyć jej, że propaganda zbrojnego powstania nie znajdzie w naszych szeregach ani sympatyków, ani wspólników" (ni complaisants ni complices).

Leon Gorecki.

NA DOBIE.

Dziś i przed laty.

Sejm galicyjski, który na jesiennej swej sesji nie zdążył załatwić palącej sprawy reformy wyborczej dla Galicji, zdobył się jednak na jednomyślność, gdy chodziło o uchwalenie nagłego wniosku hr. Stanisława Tarnowskiego, aby wysłać adres do Papieża w dzień jego jubileuszu. Zawiózł go do Rzymu marszałek sejmu hr. Stanisław Badeni, i odczytał u stóp tronu papieskiego, stojąc na czele pielgrzymki polskiej, a były w tym adresie i zdania następujące:

„My, Polacy"... „za każde wyświadczone nam dobro do stóp Twoich przypadamy i w jubileuszu Twoim dar taki Ci składamy: przyrzekamy uroczyście, że wszyscy — ka-

płani i świeccy, wszystkie wytężymy siły, by naród nasz zawsze całą i nieskażoną wiarę przechował. Tego tylko uczyć będziemy, czego Ty uczysz, to potępiać, co Ty potępiasz i odrzucasz; a że to uczynimy, całem sercem przyrzekamy, ślubujemy".

Koło Polskie w Petersburgu poszło w ślad sejmu galicyjskiego i również złożyło z powodu jubileuszu do stóp papieskich życzenia i wyrazy pragnień, by „Bóg pozwolił mu jaknajdłużej pod sterem Ojca Św." pozostawać.

O adresie hołdowniczym z Warszawy piszemy na innym miejscu.

Ta uległość wobec Głowy Kościoła, manifestująca się dziś zwłaszcza w adresie galicyjskim, jakże jaskrawo odbija od postawy, jaką przybierać umieli dawniejsi posłowie polscy w stosunku do władzy duchownej.

Oto w 1830 r. w kwietniu, w sejmie warszawskim, wśród rozpraw nad wnioskiem duchowieństwa, dotyczącym poddania spraw małżeńskich jurysdykcji duchownej, poseł Barzykowski rzekł, co następuje:

„Dobija godzina, w której rozstrzygnąć macie, czy władza konstytucyjna, czy też Papież Polakami ma rządzić". „Niemały to zakrój, bo wydarte nam będą prawa obowiązujących ustaw. Słowem, Watykan władzę rozpocznie. Nie waham się powiedzieć, że jestem przeciwko projektowi i każdy z nas, zapytawszy swego sumienia, toż samo powtórzy; śmiało to mówię, bo znam was".

„Na przeszłym sejmie, gdzie byłem także przeciwny dziś obowiązującemu prawu, rada stanu oświadczyła, że król ma sześćkroć stotysięcy wojska i że potrafi przymusić Rzym do przyzwolenia na nasze prawa, cóż widzimy? Czyliż rada stanu śmiała nawet zajrzeć księżom w oczy? Jeśli przyjmiemy proponowane prawo, sądownictwo całkiem upadnie, nie senatorowie, nie izba poselska, ale jakaś obca władza sądzić nas będzie".

„Jeszcze raz powtarzam, zapytajcie się sumienia, a powtórzycie ze mną, że tego projektu przyjąć nie możemy. Nie kładźmy kajdan nowych na współbraci naszych już i tak zanadto obciążonych".

Nie mylił się poseł Barzykowski licząc na poparcie większości. W tym co i on duchu przemawiali inni, a z biorących udział w głosowaniu 115 posłów — ogromna większość bo 93 odrzuciła wniosek duchowieństwa. Ale wtedy Polacy nie ślubowali jeszcze Papieżowi uczyć tego, co on uczy, a odrzucać to, co on odrzuca.

Ankieta w sprawie chałupnictwa.

Kwestja uregulowania bytu pracowników przemysłu domowego jest wciąż palącą i wymaga szybkiego rozwiązania. Wobec tego grono współpracowników *Prawdy*, postanowiło w drodze ankiety zbadać warunki pracy domowej robotników płci obojga. Ankieta obejmuje pytania następujące:

1) Jaki dzień jest wolny od pracy w tygodniu? Jakie święta w roku?

2) Czy praca trwa tylko w nocy, czy tylko we dnie, czy też częściowo w nocy i we dnie? (Noc liczy się od 9-ej wiecz. do 5-ej rano).

3) Ile godzin pracy wypada na dobę?

4) W jakim lokalu odbywa się praca? a) wiele okien w pokoju? b) wiele osób pracuje w jednym pokoju? c) piętro czy suteryna? d) dzielnica miasta? e) jakie światło wieczorem (gaz czy nafta).

5) Jaki rodzaj zajęcia (kapelusze, pióra, kwiaty, gilzy, koszyki, zabawki, ubranie, obuwie i t. d.).

6) Czy płaca jest dzienna czy akordowa? Jeżeli płaca na akord — wiele od sztuki pobiera i wiele takich sztuk jest w stanie zrobić na dobę?

7) W jaki sposób odbywa się wypłata? (kiedy? czy regularnie? czy gotówką?).

8) Wiek pracownika (czki).

9) Żonaty czy kawaler (panna czy mężatka)? Czy ma dzieci? Ile i czy pracują wspólnie z rodzicami?

10) Ile razy i co Pan (i) jada dziennie?

11) Stan zdrowia.

Ankieta obejmuje zawody następujące: szewstwo, krawiectwo, przemysł drzewny, prace ręczną kobiet (pióra, kwiaty, kapelusze, szycie i t. d).

„Warcholstwo i prywata".

W numerze 338 *Kurjera Warszawskiego* p. Józef Kotarbiński pisze artykuł obszerny p. t. „Naganka i prywata".

Ponieważ ostatnimi czasy byliśmy świadkami trzech „naganek": przeciwko Rajchmanowi, Kamińskiemu i Feldmanowi, autor zaś artykułu nie wspomina wyraźnie, którą z tych trzech ma na myśli, mamy tedy prawo przypuszczać, iż występuje przeciwko trzem jednocześnie.

Pozostawiając innym sądy o sprawie pp. Rajchmana i Kamińskiego, oświadczamy z całą stanowczością, że ruch przeciwko p. Feldmanowi ma źródła swoje głęboko, bardzo głęboko; nie prywatą jest, ale powszechnością, nie warcholstwem,—ale obudzoną narodowością twórczą.

Dla wyświetlenia istoty naszego oświadczenia cofniemy się nieco wstecz. Zwróćmy się do tego tła psychologicznego, na którym tryumfująca literatura p. Feldmana tylko jątrzyła i tak już podrażnione umysły, jątrzyła w ciągu lat kilku, aż doszło do wybuchu.

Otóż niezadowolenie z literatury naszej wogóle nie jest rzeczą prywatną, osobistą, ale już od lat kilku stało się wyrazem powszechności. W prasie wszystkich odłamów i odcieni spotykamy się z objawami tego niezadowolenia.

Już w r. 1904, w Ateneum (patrz zeszyt VII), p. Cezary Jellenta, jak gdyby przewiduje to, czego bolesnymi świadkami dziś jesteśmy i pisze:

„Być może, że gienjusz polski połączy się z gienjuszem żydowskim i wyda rzeczy arcydzielne, ale być też może, że sarmackość połączy się niemniej szczęśliwie z *firutkiesostwem żydowskim* i wyda *arcydzieła neutralności*".

I tak się, niestety, stało!

Co chwila rzucało się nam do oczu jakieś arcydzieło, ale przeważnie martwe, bezduszne, neutralne.

Zapominaliśmy stopniowo całkowicie, że rzecz twórcza musi być jednocześnie siłą niszczącą, że, jak miłość łączy się z nienawiścią, tak twórczość wielka — z wielkim zniszczeniem. Stanęliśmy jak fikcje, poza jakimś dobrym i złym, jakgdybyśmy my, Polacy, mogli się kiedykolwiek zgodzić na to, że zła niema, że wszystko, nawet policzkowanie nas na każdym kroku, jest wspaniałym wyrazem modernistycznej jedności duszy i wszechświata.

I stąd wynikło to, o czym również już przed kilku laty pisał Jellenta (Ateneum VII — VIII, 1905).

Magowie — pisał — śpią!

Jakże odmienna jest ta epoka od romantyzmu! Tam dramat dziejowy zlał się w jedno z dramatem literackim. Co było wielkim, wielkość swą manifestowało odwagą, obecnością, wpływem, czuciem. A dzisiaj? Póki historja spała, magowie wrzeszczeli, a gdy historja pragnie przemówić magowie śpią.

Krzyczą tylko pawie i... papugi!

To też nie dziw, że p. Niemojewski pisze w *Myśli Niepodległej*:

„Pomiędzy naszymi arystokratami i demokratami nie zachodzi zbyt wielka różnica. I jedni i drudzy obracają oczy w przeszłość, a dla teraźniejszości i przyszłości mało czucia posiadają.

Świadomość jednych powołuje się na przodków arystokratycznych, świadomość drugich — na przodków demokratycznych. Gdy jedni zaglądają do Czartoryskiego, jak do kalendarza, drudzy w ten sposób zaglądają do Lelewela, albo Mochnackiego. Są nawet tacy, którzy zaglądają tylko do Mickiewicza.

Wszystko to razem wzięte stanowi reakcję". O niewielkim odczuciu teraźniejszości i przyszłości w utworach naszych świadczy też i Savitri (patrz *Prawda* 34).

Ukazanie się — pisze z powodu „Jaskółki" Daniłowskiego — w literaturze prawdziwego człowieka czynu, czyśmy jego moc i piękno w ciele oglądać mogli — dopiero czekamy". Cóż tedy dotychczas wydała literatura nasza?

„Stają mi przed oczyma zjawy ludzi — pisał Brzozowski — postrzelonych na granicy przy przenoszeniu bibuły". Pisarze polscy, toż pisście przynajmniej tak, aby za wasze słowo umierać było warto. Krytyka jest dziś pasożytniczką. Żyje ona kosztem artystów, przerabia tylko treść przez nich dostarczaną, jeżeli służy im, to w drodze reklamy".

Czytelnictwo polskie — głosi: w odezwie swojej „Bibljoteka Dzieł Wyborowych" — schodzi na manowce, upada smak w szerokich warstwach czytelniczych i zanika w społeczeństwie orjentacja prawdziwie literacka. Dostarczyciele książek pewnych są bezwarunkowo szkodnikami społecznymi i narodowymi, dla zysku stawiają oni na kartę to, czego stawiać nie wolno, duszę narodu!

A ów jęk wprost rozpaczliwy Jabłonowskiego w „Mężach podniosłych", a szeregi feljetonów — protestów Gomulickiego w „Kraju", a owe tysiączne, miljonowe ciche, niedochodzące przeważnie do wyżyn wiadomości publicznych, westchnienia wszystkich zakątków ziemi naszej nad bezbarwnością literatury rodzimej?

A to przeświadczenie, bądź co bądź przerażające, że dawniej byliśmy narodem przodującym, a dziś schodzimy na poziom naśladowców przeważnie lub twórców biernych.

Taka Skandynawja lub Danja taka nawet Finlandja nałożyły swe piętna na myśl europejską, a my?...

Gdzie duch w nas? Gdzie siła, oddziałująca wprost fizycznie na życie i przekształcająca je? Gdzie duch, powtarzano? Duch jest wszędzie, przenika wszystko, jak słońce. Gdzie w nas siła, o której możemy powiedzieć, że przeniknie wszędzie i wszędzie na duszach kształtem nowym zabłyśnie!...

Siła ducha naszego nie odpowiada bynajmniej ani naszemu historycznemu, ani etnograficznemu stanowisku... Ale tego nie dość. Nie odpowiada ona wprost potrzebom ludu polskiego. A któż jego głód zaspokoi? Od wschodu, czy od zachodu przyjdzie ktoś i cóż wtedy?

Perspektywa słuszna, rozpaczliwa i to właśnie boli... I to właśnie stało się źródłem „naganki i prywaty".

Nie warcholstwo, nie prywata, ale ot co!

Oto w obliczu śmieci, obok wielkiego głosu ludu, walczącego o swe prawa, usłyszeliśmy kwilenie czczej deklamacji i to nas oburzyło.

W Warszawie króluje porządek!

Ot, co głosiła „Literatura" p. Feldmana.

Nie bójcie się wołała, ci wszyscy nasi wielcy to fikcje, to tylko artyści! Pokrzyczą, pokraczą i przestaną — między nimi a ludem nic masz nic wspólnego — literatura polska ma wszystko prócz Polski, bo i po cóż zresztą ta Polska w literaturze? To przesąd, to śmierć, to przeczy najjaśniejszemu powołaniu artysty!

Ot, co głosili i głoszą Feldmanowie i ich duchowni przyjaciele.

I to powtarzamy poraz trzeci wywołało protest stanowczy i to może wywołać jeszcze gorsze rzeczy.

I niech nikt w Polsce nie ośmiela się zwać tego protestu duszy narodowej warcholstwem i prywatą. Bo jeśli już prywaty i warcholstwa szukać mamy, to napewno grasuje ona nie tu, wśród ludzi, z otwartą walczących przyłbicą, ale tam po kątach, śród ludzi dwulicowych, nieszczerych, zwartych w kliki występne pod pozorami dobra ogólnego,o swojej tylko korzyści myślących.

Jan Bełcikowski.

Zebranie dyskusyjne Zjednoczenia Postępowego.

Dnia 15 b. m. w lokalu P. Z. P. odbył się wieczór dyskusyjny. Referentem był p. St. Gacki, który dawał sprawozdanie z odczytów neosłowiańskich w Wilnie w d. 30 listopada, wygłoszonych przez pp.Iskryckiego,Bobrinskiego i Krasowskiego. Usiłowali oni przedstawić ideję neoslawizmu w świetle bardzo dalekim od tego, jaki przybrał na zjeździe praskim. Pan Krasowskij, zastrzegając, że sprawa polsko-rosyjska nie kwalifikowała się do publicznego roztrząsania na zjeździe praskim, jako zbyt pouina, utrzymywał, że Polacy mogą jedynie na gruncie uznania państwowości rosyjskiej szukać porozumienia z Rosją, która winna „uszanować cudze prawa". P. Iskryckij mówił o środkach koniecznych dla zbudzenia idei słowiańskiej, podając charakterystykę zjazdu praskiego. Hr. Bobrinskij starał się przedstawić w jaki sposób ideja neoslawizmu powinna się odnieść do aneksji Bośni i Hercegowiny.

Pomimo banalnych słów współczucia dla ciemiężonych Słowian na Zachodzie i krasomówczych wywodów o „świętości języka ojczystego, który nie może być prześladowany" — przemówienia prelegientów rosyjskich były pełne zastrzeżeń i tak mgliste, że nie wyłonił się z nich ani jeden ton szczery i jasny. Żaden z tych panów nie poruszył kwestji zasadniczo stawianej w Pradze, że ideja neosłowiańska może tylko powstać i wzrastać pod hasłem równości, wolności i braterstwa ludów. Okazuje się, że wszyscy trzej mówiący usiłowali wtłoczyć obecny ruch słowiański w formę dawnego panslawizmu przy hegiemonji Rosji.

P. Łypacewicz uzupełniając referat p. Gackiego mówił w dalszym ciągu o olbrzymiej różnicy idejowej pomiędzy hasłami zjazdu w Pradze, a ostatnim popisem pp. delegatów w Wilnie, zaznaczając, że jednak i w Pradze większość delegacji rosyjskiej stała na stanowisku wileńskich prelegientów, a ledwie kilku poważnie i szczerze traktowało kwestję równouprawnienia ludów słowiańskich.

Zadaniem postępowców polskich jest strzec aby budzące się uczucie łączności słowiańskiej nie zostało wyzyskane na rzecz panslawizmu, którego obłudne ukrywanie się pod neosłowiańską firmą stale demaskować należy.

Następnie zabrał głos przewodniczący zebrania p. Papieski, wyrażając nadzieję, że wobec poparcia idei neosłowiańskiej przez szczerych postępowców różnych narodów słowiańskich, ruch ten przybierze z czasem formę decydującą o bycie politycznym Słowian, że zatym i my jak najbardziej mu współdziałać powinniśmy, z całą wiarą w lepszą przyszłość.

P. Kurnatowski poruszył w związku z neoslawizmem kwestję autonomji, jako dalszą fazę rozwoju narodów. Wyłoniła się ożywiona dyskusja, w której zabierali głos pp.: Biberstein, Hoffman, Konic, Łypacewicz, Moszczeńska, Rappaport i inni.

LITERATURA I SZTUKA.

Adolf Hipolit Taine: **„Podróż po Włoszech"**. 2 tomy, przekład A. Sygietyńskiego. Warszawa, 1908. Księgarnia powszechna.

Jest to rzeczą zadziwiającą, że teorje Taine'a nie znalazły dotąd ani jednego poważnego przeciwnika, nie znalazły wogóle przeciwników. Przyjęto je, jak się przyjmuje odkrycie radium lub promieni Roentgena, jak jedno z tych twierdzeń naukowych, które każdy może sprawdzić, by się przekonać o ich słuszności.

W chwili, gdy Nietzsche staje się odrazu przedmiotem zaciekłych napaści, gdy zjawia się cała literatura, która z rozmaitych punktów naciera na wielkiego poetę-filozofa, gdy obok niego drugi śmiałek, Lombroso, broniąc swych założeń, tak się walką unosi, że chwilami sam własną teorję doprowadza do absurdu — Taine, bez sporów zaszczepia swe myśli nauce i ludziom i jeszcze w piętnaście lat po jego śmierci nie znalazło się ani jedno pióro, któreby z nim otwarcie wystąpiło do walki.

A przecież teorje te w istocie swej posiadały pierwiastki, które z punktu widzenia utilitaryzmu społecznego uważaneby być mogły za bardziej niebezpieczne, niż marzenia o uebermenschu. Wprawdzie nasi nadludzie często przestawali być ludźmi, ale są to guziki w skarbonce i nie można za nie winić zasady, której osnowę stanowiło męskie dążenie do podniesienia typu człowieka, do wyzwolenia go z powijaków przestarzałej etyki. Tymczasem Taine gładkim swym zdaniem: l'homme est comme une plante et le climat est son maître godził w najpotężniejszą siłę twórczą ludzkości i, przenosząc punkt ciężkości ze świadomej jednostki na bezimienny ogół, osłabionej już woli człowieka ostatni zadawał cios, zdejmował z niej blask dumy i samopoczucia, godność odpowiedzialności, hamulec wstydu i wiarę w świętość wysiłku.

Ale ideje Taine'a tak dziwnie harmonizowały z ogólnym nastrojem chwili, że sam fakt przyjęcia ich najlepszym stał się dla nich poparciem. Była to chwila walki z dogmatem wolnej woli, chwila narodzin determinizmu; ale dogmat nie upadł i tylko wola jako siła stawała się zwolna w oczach najlepszych nawet śmiesznym archaizmem w rodzaju biczowań pokutniczych, a nieliczni kraftmejerzy wyglądali rzeczywiście jak rycerze z operetki, uginający się pod starą, ciężką zbroją po prapradziadku. Spotykało się ich jedynie w powieściach Rodziewiczówien, bo już nawet w romansach Sienkiewiczowskich bohaterami byli ci panowie bez dogmatu.

Uczony, który kiedyś będzie pisał historję rozwoju końca XIX-go wieku, nie będzie mógł pominąć tych punktów. Negatywizm bazylejskiego filozofa mniej burzył napewno, niż ta pozytywna klimatologja sztuki.

Że jednak teorje Taine'a były elastyczne, że faktom, choć nie ludziom, pozwalały nietylko być bezpośrednim skutkiem, ale również zgrzytnąć przeciwdziałaniem, być reakcją przeciwko powodującym je przyczynom, więc walka z nimi była tym trudniejszą, więc tryumf ich był tym łatwiejszym. Zresztą „środowisko" jest zawsze tak nieuchwytnym w swej rozbieżności, że dla każdego faktu nie trudno w nim znaleźć uzasadnienie. Prócz tego Taine wie zwykle naprzód, czego szuka w danym środowisku, zna malarstwo, które starać się będzie następnie umotywować przez cechy pewnego otoczenia, wskazuje więc zwykle tylko na te, które mu są potrzebne, a stwierdziwszy zgodność założeń z wynikami badania, głosi tryumf swej teorji. Nie widzi on nawet tych faktów, które mu przeczą i, jak mówi Wiktor Giraud, należy do rzędu tych, którzy jeśli nie odkrywają prawdy od pierwszego rzutu, to nie odkryją jej nigdy.

„Podróż po Włoszech" ze wszystkich dzieł Taine'a najmniej posiada tych spekulacyjnych wycieczek w dziedzinę teorji. Jest ona pisana w formie dziennika, a opisywane w nim wrażenia zbyt są liczne i zbyt silne, by całkowicie wypełnić nie miały wrażliwej duszy autora. Rozumowanie ustępuje tu wobec rozkoszy odczuwania i dzielenia się tymi wrażeniami z czytelnikiem.

A jednak było to trudne zadanie napisać blisko tysiąc stron druku, wspomnieć parę tysięcy nazwisk i kilkanaście tysięcy dzieł i nie wpaść w bezbarwność i monotonność katalogu; czy w suchość Burckhardowskiego Cicerona. Pod tym względem jednak Taine jest prawdziwym mistrzem; nie ma on w sobie nic z ciężkości uczonych niemieckich, a najtrudniejsze jego dzieła czyta się jak poemat. Przytym zgodnie ze swą teorją, stara się on zwykle poprzedzać swój wykład sztuki obrazem tła historycznego, które je uzupełnia, a obrazy te są tak piękne. Taine z ogromną zręcznością umie chwytać najdrobniejsze szczegóły życia, z niezrównaną giętkością potrafi przeplatać swe wrażenia wszelkiego rodzaju reminoscencjami i umie tak cytować, jak nikt chyba inny.

Nowe wydanie „Podróży po Włoszech" naszpikowane jest neologizmami; język robi tu wrażenie łanu, po którym przesunął się ostry pług i ziemia paruje na słońcu i kipi nierównościami. P. Sygietyński nie krępuje się niczem w tworzeniu i przerabianiu wyrażeń. Są między nimi niektóre tak piękne, że wszelkimi siłami należałoby się starać o przeniesienie ich do mowy potocznej, ale są i inne niezgrabne lub zgoła niepotrzebne, gdyż język nasz posiada już wyrazy dla określenia danego pojęcia lepsze nawet, niż te które proponuje p. Sygietyński. Ta czysto językowa strona tłumaczenia „Podróży po Włoszech" wymagałaby osobnego wyczerpującego studjum, ta jednak chciałbym dać choć kilka przykładów; p. Sygietyński pisze: rośliny *czepne*, lub *chwytne*, a dwa te określenia przemawiają swą obrazowością, każe mówić *„na bliży"* obrazu, zamiast na pierwszym planie, wskrzesza piękne, stare wyrażenia jak *dworka* (faworyta), ale obok nich wprowadza takie wyrazy jak w *ogniwo* lub *ogniwie*, które jako ściągające się do ognia może zastąpić nazwę francuską „foyer" lub *pokletnica*, co ma oznaczać altanę; ale nie waha się mówić stosownie lub odpowiednio *czemu*, a swymi „przypiskami tłumacza" obraża wprost miłość własną czytelnika, gdyż nawet przy takich nazwiskach jak Göthe stawia odsyłacze i pisze taką notatkę: Jan Wolfang Gothe, największy z poetów niemieckich, twórca „Fausta", „Werthera" i t. d. *Łączył w sobie rozległość wyobraźni i głębokość myśli.* En voila un carrefour!

Stefan Gacki.

Wydawnicta gwiazdkowe.

I. Powieści historyczne.

Przeglądając najnowsze wydawnictwa historycznej powieści dla dzieci, jesteśmy zmuszeni stwierdzić stanowczą w niej zmianę.

O ile bowiem dotąd traktowano z lekceważeniem ścisłość i ostatnie wyniki wiedzy, o tyle teraz zaczyna się zwrot ku lepszemu

i może w bliskiej już przyszłości, dziecko, zamiast oklepanych i zużytych bajd historycznych, dostanie do ręki prawdziwą historję, tym tylko różną od poważnych foljałów naukowych, że jednako przemawiać będzie do umysłu, uczucia i fantazji jego.

Nie będzie to już po raz tysiączny przeżuta bajka o Lechu i myszach Popiela, ani zbrodniczo patrzące ku nam oczy Bolesława Śmiałego; ale jeśli dziecku naprawdę są potrzebne powieści historyczne, to tylko takie, które się opierają na niezłomnym gruncie ciągłych i ścisłych badań naukowych i przemawiają z jasno określonym celem wprowadzenia dziecka pomału w zmysł pojmowania przeszłości i kojarzenia go w sposób przystępny z życiem politycznym wieków ubiegłych.

To też z prawdziwą radością witamy tegoroczną gwiazdkę, która w całym szeregu popularnych wydawnictw Arcta, połączyła upragnioną przez nas ścisłość z domieszką fantastycznego żywiołu, tym nieodzownym warunkiem pozyskania duszy dziecka.

W książce „Reduta Woli", p. Przyborowski opisuje szturm Paskiewicza na oszańcowane przedmieście Warszawy, mężną obronę jenerała Sowińskiego, który przeszyty kilkoma bagnetami chyli się na armatę, a nie mogąc zgiąć drewnianego szczudła, zostaje przyparty do lawety z „tak jeszcze groźnym wejrzeniem, że broń okrwawiona zabobonnie wypada z rąk grenadjerów, co go zakłuli".

Z dreszczem trwogi i podziwu dowie się też dziecko, jak zginął w tymże szturmie Strzałczan Nr. 54, zwany później Redutą Ordona, zarówno w historji jak i w pieśni unieśmiertelnioną na zawsze. Książka p. Orwicza „Młodość wodza narodu" odtwarza życie i działalność tego, który niezatartymi zgłoskami wypisał swoje imię w historji walk o niepodległość, zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i w kraju ojczystym. Ile w tej książce ciekawych rysów polskiego warchoła, tego wiecznego wichrzyciela i niszczyciela ogólnie podjętego trudu, tego samowolnego veto wbrew narodowi, najczęściej w imię własnych widoków i ambicji!

„Po jasnych świtach wojennych, tak kończy autor swoją książkę, nastąpiła znów ciemność, rozszalała klęsk burza. Zarzewiem niezgody i samowoli hardych i samolubnych magnatów rozniecona walka stronnicza zniszczyła całą pracę, tak mozolnie przeprowadzoną, przez wiekopomny w dziejach naszych sejm odrodzenia.

Ale i w tej krwawej serc zbolałych topieli, zajaśniał Kościuszko gwiazdą przewodnią, ten ostatni z dawnych rycerzy, ten pierwszy z obywateli wschodniej Europy".

W powieści Przyborowskiego „Młodzi gwardziści" autor barwnie rozwinął epizod z oblężenia Warszawy przez Prusaków, w roku 1794, i działalność dzielnej czwórki dzieci warszawskich.

Epizodycznie też przesuwają się tu przed oczyma czytelnika ukochane postacie Kościuszki i Poniatowskiego a wraz z nimi ostatni wysiłek podźwignięcia kraju z upadku, w który się stoczył.

Wszystkie te trzy powieści polecamy gorąco naszej szkolnej młodzieży.

Jest to rys znamienny pojawiającej się obecnie powieści historycznej, że czerpie ona chętniej swoje motywy z ostatniego stulecia życia narodowego, a będąc bliższą epoce, z głębszym odczuciem maluje ją dziecku i serdeczniejsze utrwala węzły pomiędzy nim a historją walk, należących już wprawdzie do przeszłości, jednakże bliskich i w skutkach dla nas żywych, bolesnych lub radosnych.

Od powieści historycznej, w ściślejszym tego słowa znaczeniu, krok bliski do powieści w rodzaju Amicisa.

Tłem jest tu również historja, ale jakby katechizmowo ułożona, ściśnięta i dająca dziecku tylko to, co je do czynu, bohaterstwa i życia zagrzać może. Jest to historja pedagogiczna, odtwarzająca z głęboką, wewnętrzną radością historję Zjednoczenia Włoch, a właściwie tryumf zjednoczonych sił. Dziecko czytając ją wierzy, wierzy tą gorącą wiarą, z której czyn wielki płynie i można śmiało powiedzieć, że ten czyn jest drogim każdemu Włochowi i że niemu tam domu, gdzieby tej książki nie było.

Albowiem książka Amicisa to barwa narodowa Włoch odrodzonych, to Garibaldi, to ów sławny „tysiąc" nieustraszonych o wolność bojowników, to potężny odwet narodu za stulecia niemocy i rozbicia.

Bardzo to pięknie, że nam tę książkę przetłumaczono na język polski, czekać jednak będziemy z upragnieniem pojawienia się polskiego Amicisa, a może to pragnienie połączone z innym, stokroć silniejszym, wytworzy potężną tęsknotę czynu i zwycięstwa z których jedynie powstać może w narodzie książka w rodzaju Amicisa.

My, każdą z naszych książek kończyć musimy smutnie, że bezowocnymi były czyny bohaterskie, że bezskutecznymi wysiłki całego stulecia, czekając więc na Amicisa czekamy lepszej przyszłości.

A. G.

„Salon warszawski"

V-ta doroczna wystawa Sztuki Pięknej.

I.

Nieustające wystawy sztuk plastycznych, podobne do tych jakie zazwyczaj widzimy w gmachu Zachęty lub w Salonie Kulikowskiego, posiadają wysokie znaczenie edukacyjne. Publiczność, uczęszczając często na takie wystawy, zaznajamia się ze sztuką, uczy się ją pojmować, otrzymuje pewne wrażenia piękna, budzi i rozwija zmysł ten, tak słabo jeszcze w niej kiełkujący, korzysta z ciągłej zmiany i urozmaicenia wystaw, słowem kształci się estetycznie. Wystawy takie są więc konieczne, ale z powodu częstych i ciągłych zmian nie dają one dokładnego pojęcia ani o rozwoju poszczególnych artystów, ani o stopniu rozwoju całej sztuki w danym okresie czasu. Brakowi temu zaradzają wystawy zbiorowe prac jednego artysty, pozwalające poznać i ocenić całokształt jego talentu, oraz urządzane wystawy zbiorowe wszystkich artystów, dające obraz dokładny wytwórczości ogólnej. W wystawach takich biorą udział starcy, młodzi i najmłodsi artyści, a prace wszystkich dają możność ciekawych porównań.

Kierunki nowe, zmiany techniki, wahania się, poszukiwania, wszystko to na wystawach takich zaznacza się dokładniej, dla tego posiadają one ważne znaczenie.—Powtarzając się perjodycznie, „Salony" takie są najdokładniejszymi wyczuwaczami i wskaźnikami wszystkiego, co tylko się tyczy wewnętrznego życia sztuki. Dla tego też „Salony" paryskie, urządzane na jesieni czy wiosną, posiadają tak olbrzymie znaczenie dla sztuki wszecheuropejskiej i z nich to promieniują daleko poza granice Francji najprzeróżniejsze odcienie, jakimi się obecna francuska i wszecheuropejska sztuka zaznacza.

Od lat kilku i Warszawa posiada swoje „Salony" doroczne, a piąty z nich z kolei, otworzył obecnie swoje podwoje. Wystawione w nim prace przedstawiają się wcale pokaźnie i interesująco. Daje on dosyć dokładny i dobry obraz sztuki polskiej z doby obecnej z jej zaletami i wadami. Do tych ostatnich zaliczyć należy wielką rozbieżność pojęć kierunków, technik, które bynajmniej nieoznaczają rozmaitości bogatej w indywidualne dążenia, ale raczej brak jednolitości, która pewną „szkołę" znamionuje, brak jednolitej cechy narodowej, słowem brak tego, coby sztuce naszej nasz specjalnie polski charakter nadawało.

Dziwić się jednak temu wielce nie należy, zważywszy na warunki w jakich sztuka nasza poczęła się rozwijać i dotąd się znajduje. Będąc pod wpływem obcym, jakże ma wyrobić swój specjalnie narodowy charakter, skoro naród nasz, na części rozdarty, pozbawiony jest rozwoju naturalnego?

Nieposiada sztuka nasza jednolitego charakteru, nieposiada talentów wielkich oryginalnych, któreby mimo wszystko jej tylko właściwe wytknęło tory, jest więc ona odbiciem, często słabym, często karykaturalnym, kierunków sztuki obcej, przeważnie francuskiej, jak była odbiciem, kilka dziesiątków lat temu, sztuki niemieckiej, monachijskiej.

Obecny „Salon" warszawski nie zawiera dzieł ani o przestarzałym jakimś kierunku, formach czy technice, ani ultra-modernistycznym, zazwyczaj karykaturalnie rozwichrzonym, czuć się w nim jednak daje brak sił świeżych, talentów postępowych i oryginalnych. Wystawione prace starszych artystów są lepsze od prac młodszego pokolenia, a to nie jest dobrym znakiem.

Malarstwo, jak dotychczas u nas, przedstawia się znacznie lepiej od rzeźby, która w obecnym salonie jest jakościowo i ilościowo słabo reprezentowana, za to w architekturze poczynają się pojawiać pierwsze przebłyski dążenia do czegoś nowego.

Czterysta przeszło prac liczy „Salon" obecny, są one róznej wartości i znaczenia, nad niektórymi dłużej zatrzymać się należy, że zaś żaden rodzaj nie góruje ponad innymi, żaden nowy kierunek nie zaznacza wybitniejszych, pod rozbiór krytyczny, cech, więc muszą być wzięte poszczególne obrazy, a przedewszystkim prace artystów należących do starszego pokolenia i posiadających ustaloną renomę. Szkoda tylko, że prace poszczególnych artystów nie wszystkie zostały rozwieszone w grupach, co ułatwiłoby ich oglądanie i porównanie. Rozwieszanie prac jednego artysty w różnych salach (by wystawę uczynić bardziej interesującą), należyć powinno do przeszłości.

II.

Prace Brandta na wystawach naszych zawsze wybitnie odznaczają się brawurą techniki jemu tylko właściwej, trochę ciemnym, lecz soczystym i harmonijnym kolorytem, ruchem nadzwyczajnym ludzi i koni, oraz wielkim życiem, co, razem wziąwszy, stwarza złudzenie prawdy. Jest to tylko złudzenie, gdyż wszystko w nich jest konwencjonalne, ale specjalnie brandtowskie. Powietrza tam niema, jakkolwiek sceny odbywają się zazwyczaj na wolnej przestrzeni, nietłumaczy się światło na figurach czy grupach rozlane, krajobraz jest traktowany tylko jako dodatkowe tło dekoracyjnie. Nie wpłynęły na rozwój artystyczny Brandta olbrzymie w sztuce przewroty, jakie wnieśli ze sobą impresjonizm lub pleneryzm, ale pomimo to, prace tego artysty, z powodu wielkiego w nich życia i brawury w wykonaniu oraz pewnej dekoracyjności, zawsze się podobają i dodatnio od innych wyróżniają.

Na Horowitzu również nie wpłynęły kierunki świeższe w sztuce, pozostał on wiernym swej starej ale doskonale wyrobionej technice, portrety przez niego malowane należą zazwyczaj do wybornych. Z trzech obecnie wystawionych, najlepszym jest portret córki artysty, chciałoby się jednak od postaci tej młodej dziewczyny odrzucić ową olbrzymią księgę co pleśnią starości pachnie, ową ładną, lecz również starą draperję, te przeżyte już akcesorja pracowniane, a otoczyć ją nowymi formami, słowem stworzyć z portretu dzieło nowoczesne. Dobry

jest autoportret artysty, lecz zbyt lalkowatym i pozującym jest p. K. na portrecie trzecim.

Chełmoński wystawił dwa bardzo dobre krajobrazy, których największą zaletą jest to, że posiadają dużo powietrza. „Żórawie” jako całość są trochę za szare w kolorze.

Malczewski jest zawsze ten sam. W wystawionych czterech pracach znajdują się wszystkie zalety i wady jego talentu zaakcentowane z różną siłą. Ale artysta z dziwnym upodobaniem ścieśnia zakres swego talentu, obrabia jeden tylko temat zbyt wielokrotnie, staje się już monotonnym. Autor „Błędnego Koła” sam z niego wydostać się nie może. Prace jego poczynają potrosze już nużyć, a mogą z czasem i znudzić. Życie przecież nietylko z rebusów lub łamigłówek się składa.

Z czterech prac Fałata najlepszą jest „Jesień”, pyszna w swoich złotych i gorących barwach ulistnienia drzew i padających przez nie promieni słonecznych.

Tetmajer w obrazie „Święcenie ziół” dał nam powtórzenie „Święcenia Wielkanocnego”, tylko że barwy są tutaj jaskrawsze i brak powietrza jest bardziej widoczny. Powietrza i światła brak również w trójobrazie zatytułowanym „Jastrząb”.

Co obraz „Przed Piastową chałupą” ma wyobrażać, trudno jest zrozumieć. Czyżby ci dwaj ukostjumowani ludzie z krzyżami na laskach i ryngrafem z wyobrażeniem obrazu N. M. P. Częstochowskiej na piersiach mieli być legendarnymi aniołami? A jakżeż fatalnie jest narysowana figura wieśniaka, co Piasta ma wyobrażać!

Najbardziej interesującym z nadesłanych obrazów Tetmajera jest tak przezwany „Marsz Skrzyneckiego”. Z malarskiego punktu widzenia jest on ciekawy: słabe światło świec płonie łagodnie w pokoju, w którego głębi siedzą trzy jakieś postacie i słuchają muzyki młodego dziewczęcia, grającego na fortepianie. Lecz dlaczego muzyka ta ma być „Marszem Skrzyneckiego” a nie Sonatą Bethovena lub Mazurkiem Chopina? Sądząc z bardzo spokojnego ruchu grającej i nic nie mówiącego wyrazu jej twarzy, najwłaściwszym tytułem obrazu byłoby „Nudne ćwiczenia na fortepianie”. Artyści powinni być bardziej ostrożni w wyborze tematów; malarstwo czy rzeźba nie posiadają właściwości „słowa”, gdyż nie wszystko środkami plastycznymi da się wypowiedzieć.

W pracach Wierusz-Kowalskiego jak zawsze widzimy naśladownictwo techniki Brandta, co sprawia, że wszystko w nich jest bardziej konwencjonalne, tymbardziej, że malowanie z pamięci jest w nich w większym jeszcze aniżeli u Brandta użyciu. Tematy Kowalskiego ciągle się powtarzają. Wszak jego „Wilki” i „Polowania” z koniecznym śniegiem już od ćwierć wieku są wykpiwane w monachijskich „Fliegende Blatter”. Jako dekoracyjne „panneaux” przedstawia się silna w kolorze i oświetleniu jego „Djana”. Ale jakież podobieństwo z boginią łowów posiadać może owa wulgarna, naga dziewczyna?

Niedaleko tej „Djany” znajduje się zawieszony obraz Wasilkowskiego wyobrażający ciągniętą przez niedźwiedzie „Boginię łowów”. Jest to praca o charakterze dekoracyjnym, bardzo zajmująca w swoim gorącym kolorycie, dobra jako plama, tylko bogini ma za mało męskiej powagi, a całość zbyt przypomina starych mistrzów.

Weyssenhoff w kawałku dobrego jesiennego krajobrazu bez powietrza jednak, przedstawił nam „Zacisze litewskie”. Pusto tam, głucho i cicho, tylko przed dworkiem baraszkują sobie dwa niedźwiedzie. Taki „błogostan” tylko na naszej świętej Litwie jeszcze się spotyka. Ludzie tam śpią, ale niedźwiedzie tańczą.

W. Trojanowski.

Z Muzyki.

Piękny wieczór kameralny ściągnął garstkę słuchaczy. Czemu ta frekwencja jest tak nierównomierna? Zwykły — bezmyślny kaprys Warszawy!

A tymczasem — kto przyszedł — ten się przekonał, że twórczość Melcera, jako pieśniarza, — zbliża się do wielkich szczytów...

Pięć pieśni, wykonanych przez p. Lasocką, ma poezję i szerokość Szumana i pogłębienie Bethowena. Charakterystyczną cechą wszystkich utworów — treściwość. Żadnego zbytecznego taktu, ani na chwilę nie zawodzi natchnienie. Spiżowa moc, jednolita całość.

Kwintet *es-dur* Bethovena, wykonany przez pana Melcera z członkami z orkiestry, również stał na najwyższym poziomie doskonałości. Pani Lasocka — odtwórczyni pieśni Melcera—miała wielkie powodzenie. Głos artystki, nieco matowy, trochę za głęboko osadzony — wynagradza słuchacza ładnym tembrem, i wielkim artystycznym umiarem. Kto chce więc kształcić się w dobrej szkole muzycznej — powtarzam — ten musi uczęszczać na wieczory kameralne Filharmonji.

Antoni Miller.

NOWE KSIĄŻKI.

Słów kilka z powodu „Nauki o cywilizacji” p. E. Majewskiego.

(Dokończenie).

Dalej Autor rozpatruje inne czynniki, wskutek których człowiek zajął swe stanowisko wyjątkowe w świecie organicznym, mianowicie zmianę kończyn przednich i powolne prostowanie się całej postaci; w związku z czynnikami tymi pozostaje stosowanie narzędzi sztucznych — jednym słowem, powolny rozwój kultury. Dla objaśnienia więc, czemu przypisać należy powolne wyróżnianie się człowieka wśród innych zwierząt, p. Majewski przytacza kilka ściśle poniekąd ze sobą wiążących się dowodów, zaczerpniętych ze zdobyczy naukowych; zdobycze te jednak — zbierane niekiedy drogą żmudną i niepewną — ograniczają się zwykle, jeżeli idzie o ścisłą gałąź wiedzy, jedynie stwierdzaniem faktów, nie wdając się bynajmniej w przyczynowość. Wiemy, naprz, że człowiek wyróżnia się wysoką organizacją mózgu, możemy wykryć pewne różnice w budowie tego ostatniego u nas i u innych zwierząt; czemu jednak przypisać bezpośrednio ów rozrost — tego nie wiemy. Człowiek odznacza się mową, której nie posiada żadne inne zwierzę; dokładnie zbadaliśmy organy, przyjmujące i odbierające dźwięki, oraz wytwarzające je narządy; wiemy, jaki wpływ wywarła mowa na rozwój mózgu; nie wiemy jednak, dlaczego inne człekokształtne jej nie posiadają. Dla tych i wielu innych podobnych zagadnień przyczyn nie znamy i napróżno starałby się ktoś je rozwiązać, skoro dzisiejszy stan nauki na to nie pozwala; będzie to tylko dalsze supłanie węzła, którego dziś rozplątać nie możemy i wątpliwym jest, abyśmy go kiedykolwiek rozwiązać byli w stanie; a tłumaczenie jednej niewiadomej zapomocą drugiej zupełnie kwestji nie wyjaśnia. Mamy więc konkretne dane, wyróżniające człowieka od innych, morfologicznie doń bardzo zbliżonych istot; opierając się na nich, możemy zbudować pewne ciało społeczne, a dalej zastanawiać się nad jego ewolucją (powstawanie kultur), przytym przeprowadzać możemy analogję między ciałem społecznym a biologicznym, wynajdując podobieństwa lub różnice. Uczynił też tak i p. Majewski — na tej jednak stronie jego pracy zatrzymywać się nie mogę, dokładna ocena bowiem podstaw socjologicznych należy do socjologa;[1]) mimochodem tylko mogę zaznaczyć ścisłość argumentacji Szan. Autora oraz dokładność w wytknięciu różnic między organizmem a społeczeństwem. Pozwolę sobie jedynie zwrócić uwagę na następujące kwestje.

Badając starożytność rodu ludzkiego, p. Majewski przenosi go do trzeciorzędu, a zastanawiając się nad postacią praludzką, dochodzi do przekonania, iż „człowiek, przynajmniej od początku Miocenu, miał postawę wyprostowaną, a więc był już tym, czym go zastała epoka czwartorzędowa”, dla przytoczenia zaś „bezpośredniego” dowodu opiera się na wytworach jakoby ręki ludzkiej — krzemieniach obtłukiwanych; znajdywano je aż w miocenie, przyczym *„od Miocenu wyższego aż do Pliocenu wyższego mamy ciągle jedno i to samo stadjum rozwoju techniki krzemiennej*, bez zmian, cofania się, *ale i bez postępu*”, a jest rzeczą ważną, iż są one podobne do narzędzi późniejszych, do t. zw. eolitów: dopiero w młodszym czwartorzędzie zauważyć się daje pewien postęp w technice. Otóż — pomijając już trzeciorzędowe krzemienie—co do owych eolitów nasuwają się w ostatnich czasach znowu bardzo poważne wątpliwości, mimo obrony Rutot'a. Prof. Hoernes, jedna z najpoważniejszych sił w tym kierunku, powiada o nich: „Sind z. T. wirklich tertiären, aber nicht immer menschlichen Ursprungs und verlieren ihre Glaubwürdigkeit um so mehr, je älteren Schichten die entstammen. Jetzt hat man solche sogar schon im Oligowän (Belgien), also in einer Stufe entdeckt, aus der noch nicht einmall Affenreste bekannt sind”; a dr. Waagen (Gaea, zesz. III, 1908 r.) jasno udowodnia, iż eolity — to jedynie sztuczny wytwór w ziemi. „Bezpośredni” więc dowód p. Majewskiego, mający wskazywać na wyprostowaną postać człowieka, nie jest całkiem niezawodnym; wogóle prosty chód nie jest — zdaniem niektórych antropologów, naprz. Klaatsch'a — dla człowieka tak znów charakterystycznym (spotykamy się już z tym zjawiskiem u naprz. Dinosauria,). Przy wyszukiwaniu form, od których mógłby człowiek pochodzić, zrzekła się nauka w ostatnich czasach prawie całkowicie wykazania ciągłego rzędu między człekokształtnymi a człowiekiem; teorja ta, namiętnie dotychczas broniona przez Schwalbego i innych oddanych mu zwolenników krańcowego

[1]) Znany socjolog, rodak nasz, prof. Gumplowicz bardzo pochlebnie ocenia dzieło p. Majewskiego (Przegląd historyczny, T. VII. Z. 1), stwierdza jednak że nieuwzględnienie przez p. Majewskiego jednego z głównych przejawów społecznych — panowania jednych grup nad drugimi oraz wynikłego wskutek tego powstania klas — utrudniło poprostu odpowiedź na to, co to jest cywilizacja, bo „cywilizacja” mówi prof. Gumplowicz: „jest poprostu wytworem państwa; gdzie powstają państwa i gdzie się rozwijają, tam powstają i cywilizacje...” „cywilizacja „dogasa” tam, gdzie państwa upadają, a dogasać *musi*, bo każde państwo przebiega stadja rozkwitu i upadku”. Wobec panowania różnicowanie się funkcji jest — zdaniem p. G. — faktem jedynie drugorzędnym, chociaż sam Prof. G. zresztą stwierdza, że cywilizację możemy określić „jako stan rzeczy, w którym na zaspokojenie potrzeb każdej jednostki, składa się praca większej i coraz większej liczby ludzi, zatrudnionych w tym celu na zwiększającym się wciąż terenie (cywilizowanym) kuli ziemskiej“.

darwinizmu, znajduje wielu przeciwników; jedni, opierając się na danych embrjologji porównawczej, jak Kollman, wyszukują wspólnej formy, od której rozszczepiają się antropoidy i człowiek, inni—wskutek pewnych rozumowań — dopatrują się. protoplastów w południowo amerykańskich małpach (van den Broek, Haacke), podając bądź gatunek *Ateles* lub też zwłaszcza *Tarsus spectrum* (badania nad mózgiem — Zichen'a, nad kośćmi — Wortmana, nad wątrobą — Ruge'go). I p. Majewski — opierając się na odkryciach Ameghino i uzupełniając je uzębieniem czaszki Anaptomorphus'a — dochodzi do wniosku, „że patagońskie ssaki małpokształtne z epoki kredowej są protoplastami wszystkich Naczelnych, zarówno Nowego, jak Starego Świata"; broni też idei, że małpy człekokształtne dawniej były bliższe człowiekowi — idei już przed laty 40 przeczuwanej przez Aeby. Z początku na pogląd ten nie zwrócono uwagi, dziś jednak — drogą różnych rozumowań — dochodzi doń wielu antropologów (naprz. Klaatsch, Kollman i in.). P. Majewski stoi więc pod tym względem w zgodzie z nowymi prądami nauki, w wynikach swoich co do zmienności form dochodzi jednak drogą analogji, które właśnie w stosunku do człowieka z trudem dadzą się zastosować. Człekokształtne zmieniały się (jako dowód służy nam przecież rozchodzenie się cech) i dziś jeszcze zmieniają się i zmieniać się mogą; człowiek zaś—pochodząc od tej samej formy, co i antropoidy — doszedł dziś do tego stanu, że dalszym metamorfozom ulegać już nie może („indifferent" niem. antrop.). Wynika więc stąd, że musiał ulegać częstszym i znaczniejszym zmianom, aniżeli człekokształtne i że okresy niezmienności trwać musiały o wiele krócej, aniżeli u antropoidów, skoro w tym samym przeciągu czasu utworzyły się formy, mogące się jeszcze różnicować i wydoskonalać (człekokształtne) i formy nie będące w możności ulegać dalszym metamorfozom (Homo sap.). Na tej podstawie—również tylko ścisłego rozumowania — nie mamy bądź co bądź prawa twierdzić, że już w końcu miocenu przodkowie człowieka byli bardzo do niego podobni; musimy bowiem — stając nawet na stanowisku Szan. Autora — koniecznie przyjąć, że formy, z których powoli rozwijał się człowiek, były bardzo do zmian skłonne i na tej podstawie rodzą się wnioski wprost przeciwne. Przypuszczenie zaś, że właśnie człowiek przechodził przez mniej zmienne stadja, aniżeli człekokształtne, jest do pewnego stopnia wykluczone, skoro wyszło się z założenia, że protoplastami są patagońskie ssaki; różnica między nimi a człowiekiem jest potężna; a jeżeli nawet morfologja porównawcza zawahałaby się na korzyść antropoidów (t. j. na większe odchylenie się ich od formy pierwotnej, aniżeli człowieka), to nieprzebytą przepaść stanowi psyche człowieka, której w żadnym razie pomijać nie wolno. Pośrednie dowody starożytności człowieka, jako takiego, mogą więc — jak to widać — ulegać dyskusji; bezpośrednich zaś — jak dla ptaków [2]) choćby — nauka, niestety, nie posiada jeszcze.

Pozwoliłem sobie na tych uwag kilka, które mi się przy czytaniu cennej „Nauki o cywilizacji" p. Majewskiego nasunęły — nie przypuszczam też, aby Szan. Autor mógł mi wziąć je za złe.

D-r Stefan Sterling.

[2]) I w Eocenie starszym znane są niektóre gat. jak, naprz. Gastornis, Remornis; a jeżeli w jednym jakimś piętrze są braki paleontologiczne, to wypływają one, według wszelkiego prawdopodobieństwa, z niezupełnego jeszcze geologicznego opracowania tego piętra.

Konrad German: **Klasztory przed sądem ludu**, przekład z niemieckiego. Wydawnictwo *Myśli Niepodległej*, str. 39, Warszawa 1909 roku, cena kop. 10.

Bardzo ciekawą broszurkę wydała świeżo redakcja *Myśli Niepodległej*. Jest to zbiór przysłów, gadek i aforyzmów ludowych o klasztorach, mnichach, mniszkach, jezuitach i o klerze wogóle. Jako materjał, posłużyły autorowi klasyczne zbiory przysłów: jako to: Eiselina, Simrocka, Brauna, Wandera, Henischa i innych. German zebrał je bardzo starannie i ułożył metodycznie. Poznajemy cały szereg przysłów i powiedzeń, wysnutych z gorzkich doświadczeń długich stuleci i wyrażających szczerą, prawdziwą opinję ludu różnych narodowości w sprawie klasztorów. Główny nacisk kładzie autor na ujęcie ekonomicznej strony zagadnienia w przysłowiach. I słusznie „lud w prawdzie i religijnej kwestji w przysłowiach swoich milczeniem nie pominął, ale przeważa jednak ilość skarg z zakresu spraw gospodarczych, społecznych i związanych z tamtymi — moralnych" (str. 7). Słusznie i bez przesady powiada autor, że w niektórych krajach sprawa klasztorów jest jedną z najbardziej palących spraw ludowych. Wystarcza uprzytomnić sobie co się dzieje w Hiszpanji, Włoszech, Belgji i Galicji, aby przyznać, że kwestja klasztorów jest tam dla ludu kwestją „być albo nie być". Przysłowie „im bliżej klasztoru, tym chłopstwo uboższe" znajduje się we wszystkich wielkich zbiorach przysłów ludowych. Tłumacz w dopisku przypomina czytelnikom powiedzenie biskupa Krasickiego:

„Były trzy karczmy, bram cztery ułamki, klasztorów dziewięć i gdzie nie gdzie domki". (Monachomachja I, 23-24). Oto kilka z pośród dziesiątków przysłów zebranych w broszurze: „Najpierw było mało klasztorów i dużo chrześcijan, teraz jest dużo klasztorów i mało chrześcijan". „Rzym wszystko kupi, bo świat jest głupi". W Rzymie rozbolą cię bebechy, wypróżnią ci tam wszystkie miechy i będą się jeszcze z ciebie natrząsały klechy". Inne przysłowia oceniają klasztory ze strony religijnej: „Im bliżej klasztoru tym dalej od Boga" „Im bliżej Rzymu, tym bliżej piekła" i t. p. Inne znowu przysłowia mówią o moralności klasztorów, jak naprzykład: „Powietrze klasztorne zapładnia". Przysłowia o mnichach są pełne zgryźliwości: „Chcesz mieć domostwo schludne i chcesz żyć w nim zcicha, to nie wpuszczaj gołębia, klechy albo mnicha". „Mnich boi się roboty, jak djabeł krzyża". „Kto chce uniknąć zła od zakonnika, niech oczy otwiera a kieszeń zamyka". Z równym uczuciem wzgardy lud traktuje jezuitów: „Gdy dwuch jezuitów razem się zejdzie, robi się ciemno w całym kraju". Tak samo o kapucynach, benedyktynach i karmelitach: „Żebraczy stan tak zdobi stan kapłański, jak osioł targ koński". „Im mniej zakonów, tym więcej zakonu". Kilkadziesiąt tego rodzaju przysłów zebranych w broszurze stanowi ciekawy przyczynek do zbadania stosunku ludu do kleru, w przysłowiach bowiem wyrażają się najszczerzej i najlapidarniej pojęcia i poglądy ludu. Tłumacz dodał od siebie przysłowia ludu polskiego wybrane z „Księgi przysłów, przypowieści i wyrażeń przysłowiowych" Samuela Adalberga (Warszawa 1889--1894)

Mimo, że dzieło to było w swoim czasie ocenzurowane z całą surowością, znajdujemy w nim dziesiątki przysłów ludowych które wskazują wyraźnie na złośliwość, z jaką odnosi się lud polski do klasztorów i wszelkich zakonów. Przekład świetny; przysłowia mające formę wierszowaną, przełożone są wierszem. *J. W.*

Regina Lilientalowa: **„Precz z barbarzyństwem"** (rzecz o obrzezaniu). Warszawa, 1908, str. 19. Cena kop. 10.

Broszurka pani Lilientalowej jest jeszcze jednym głosem przeciwko obrządkowi obrzezania. „Żadne teorje—powiada p. L. — usprawiedliwić nie mogą postępowania stwarzającego bezużyteczne, bezcelowe cierpienie". Wszelką chęć usprawiedliwienia tego barbarzyństwa, autorka słusznie tłumaczy tym, że współczesny żyd inteligientny czuje całą ohydę i grozę tego obrzędu, lecz że na odrzucenie go zdobyć się nie ma odwagi, a nakaz biblijny przestał dlań być autorytetem, więc wmawia w siebie i innych, że obrzezanie jest środkiem profilatyczno-sanitarnym. Tymczasem nauka do tej pory tego poglądu nie usankcjonowała. Autorka przypomina teorję Spencera o powstaniu obrzezania, które było według niego okaleczeniem dokonywanym początkowo na jeńcach, od których pobierane trofea coraz łagodniejszą formę przybierały, przeobrażając się jednocześnie w ceremonję rządową i religijną. W dziele Richarda Andrée („Ethnographische Parallelen und Vergleiche") znajduje opisy obrządku obrzezania u Dahomejczyków, Mandyngów, Beczuanów, Kafrów, w Abisynji, na Madagaskarze, na wyspach Archipelagu Indyjskiego, u Melanezyjczyków na Fidżi, Nowych Hebrydach, u Polinezyjczyków na Tonga, Samoa, Tahiti i u Jukatańczyków. W starożytności zaś zwyczaj ten praktykowali Egipcjanie, Fenicjanie, mieszkańcy Meksyku i inni. „Gdyby dzieje Żydów — kończy autorka — inną potoczyły się były drogą, gdyby życie ich społeczno-narodowe rozwijało się zdrowo i normalnie, to dziś ślad tego obrzędu przetrwałby jedynie w legiendzie. Lecz było inaczej i Żydzi skostnieli w swym rozwoju kulturalnym... Dziś wszakże wszyscy mający poczucie krzywdy wyrządzanej dziecięciu zerwać z tym obrzędem powinni".

J. W.

Z PRASY.

O prasie ludowej w Królestwie.

(Dokończenie).

Demokracja chrześcijańska, krzewiąca się coraz bujniej wśród miejskich rękodzielników, próbowała urabiać pod swą działalność teren i na wsi. Temu celowi miał współdziałać *Promień*, „uczciwe ale miłe pisemko, zwinięte po latach paru".O „Strzesie rodzinnej", która miała być „twierdzą obronną patryjarchalnych tradycji, opiekuńczego dworu, wdzięcznej i potulnej chaty" pisze, że była tak nie na czasie, iż nie dociągnęła nawet pełnego rocznika.

O pismach klerykalnych, takich jak wychodzący w Częstochowie *Dzwonek Częstochowski* i w Płocku *Mazur*, nie wiele jest do powiedzenia; więc też jedynie zaznacza się istnienie. Wpływu one nie mają znaczniejszego.

Natomiast jedno z klerykalnych pism, wychodzące od lat dwuch, w najbogatszej prowincji kraju bo w Łowickiem, wydawane przez miejscowego proboszcza, jest ciekawym objawem w procesie ewolucji mas ludowych. Autorka nazywa to pismo noszące miłą dla ludu nazwą *Chłop Polski* „pro-

duktem demagogji reakcyjnej". Jest ono echem poglądów Związku Katolickiego i grupujących się koło niego najwybitniejszych elementów ziemiańskich. Pismo to umiejętnie wyzyskało zniechęcenie i rozgoryczenie ciemniejszych mas ludowych do polityki narodowo-demokratycznej. „Na szpaltach *Chłopa Polskiego* spotykamy wymyślania na przewrotność wszelkich agitatorów i działaczy, budzące już nietylko nieufność, ale wprost nienawiść do wszelakich inteligientów zwanych tam „panami klasowymi" (ponieważ kończyli klasy czyli szkoły) — przyczym dostaje się i obszarnikom, mieszającym się w niesswoje rzeczy w gminie i w Kółku Rolniczym. Przecież chłop ma swój rozum a jak czego nie wie, to ma od tego proboszcza, żeby mu powiedział".

Tu następuje znana nam z prasy codziennej historja ks. Szaniawskiego, redaktora tegoż, jego usunięcie ze Związku Katolickiego, po skonstatowaniu, że po procesie wytoczonym ks. redaktorowi werwa pisma osłabła ale jednak wychodzi ono nadal i „tumani nawet lepsze jednostki pozorami obrony samodzielności chłopskiej". Istotnie, jest to jedyna przynęta, na którą pismo to łowi prenumeratorów. A samodzielność w ludzie polskim budzi się i szuka swego kształtu. Takim przejawem samodzielnej myśli ludowej, wychodzącej wprost z piersi chłopskiej bez żadnego oglądania się na względy takie lub owakie, była wydawana przez grono włościan z powiatu Radzymińskiego *Siewba*.

O tym piśmie, którym ze względu na literackiego kierownika jej, znanego działacza, myśliciela i poetę Jana Adamowicza zarówno prasa jak i szerokie koła inteligiencji zajmowały się dość żywo; spotykamy w tym krytycznym przeglądzie taką ocenę: „Głosy zawarte w niespełna dwuch rocznikach tego pisemka, to echa drgnień zbiorowej duszy chłopskiej. Skargi, żale, pragnienia płynęły przez ową chłopską redakcję nieprzepuszczane przez alembik żadnej doktryny, żadnego ubocznego interesu. Jedyny czynnik zewnętrzny, to braterska pomocna dłoń szlachetnego idealisty, który pełniąc czynności sekretarza redakcyjnego, wsłuchiwał się w te idące od wsi polskiej głosy: „czy tententu nie posłyszy"...

Jako żywo prawda! Tak nie inaczej była redagowana *Siewba*, ta ukochana powiernica bolączek chłopskich. A dziś?

Siewbę zamknął rząd, stojący przy niej pracownik jutra zmarł — została garstka włościan czujących „że duch się w każdym poniewiera".

Trudno o wierniejszą charakterystykę pisma, współpracowników i czytelników tego jedynego w swoim rodzaju pisma, jakim była *Siewba*.

Brak jeno wzmianki o napaściach, jakie się na nią sypały ze strony pism klerykalnych, endeckich i antisemickich. Toż rozjuszenie kleru przeciwko tej ludowej gazecie było takie, że ambony grzmiały wyzwiskami i wyklinaniem jej czytelników a w Miechowskim jeden z duszpasterzy posunął swą gorliwość tak daleko, że w obecności prenumeratora *Siewby* nie chciał odprawiać Pasterki. *Siewba* przeszła przez chrzest próby ognia i wody i wyszła zeń zwycięsko. Jest ona wspominana przez lud z miłością i czcią. A teraz wysłuchajmy opinji o piśmie ludowym, które wraz z *Siewbą* dzieliło twardą ale w naszych warunkach zaszczytną dolę, bo na równi z nią było i jest wyklinane przez kler, a bojkotowane przez stronników N. D. oraz ziemiaństwo wszelkiej politycznej barwy i całkiem barwy pozbawione. Mowa tu o *Zaraniu*, autorka nazywa je pismem „najżywotniejszym". Celem głównym pocisków jest wypisane na sztandarze hasło „Sami sobie". Co znaczy swoje sprawy brać trzeba w swoje ręce.

Tak to hasło pojmuje redakcja i tak je rozumieją czytelnicy. Ale ci, co tego zrozumieć nie chcą, stawiają mu liczne zarzuty, które *Kurjer Lwowski* tak ujmuje:

„Jakto? więc separatyzm klasowy, więc odstrychnięcie się w inteligencji, więc wyłamanie się z pod karności ogólno-narodowej, więc wreszcie odrzucanie posłuszeństwa kościołowi"?...

Po sformułowaniu zarzutów najbardziej będących w obiegu następuje krótka historja pisma...

„Na dziesięć z górą lat przed wyłonieniem się wyraźniejszego ruchu ludowego pełniło już z wielkim pożytkiem służbę oświatową pismo *Zorza*. Kierunek dydaktyczny łączono w nim umiejętnie z dążeniem do budzenia inicjatywy i samodzielności u czytelników".

Takie zajmowało pismo owo stanowisko w chwili chaotycznego ruchu pokonstytucyjnego. Po niedługiej chwili wahania i starciach w łonie samej redakcji *Zorza* zajęła placówkę niezależną; z pisma „dla ludu" przekształciła się do gruntu w pismo ludowe i swoje „credo" wypowiedziała w haśle prostym jasnym a twórczym „sami sobie". Obecnie *Zorza* wychodzi pod nazwą *Zaranie* i skupia koło siebie najoświeceńsze, najbardziej uspołecznione żywioły włościańskie, to jest te, „które nie chcą trwać dłużej w kornej postawie z wyciągniętymi ku górze rękoma, w oczekiwaniu darów przyszłości, oni chcą „własne życie stworzyć sami i nowy zaprowadzić ład".

Nie myślmy jednak, że są to burzyciele, że dążenia ich zagrażają stanowi posiadania innych warstw; nie, oni mają tylko to, o co nam się modlić kazano, mają dobrą wolę „wśród sądów Bożych samych zbawić siebie".

Pomocnej dłoni brata, inteligienta, gdy ten stanie obok nich, nie odrzucają, ale przyjmują szczerym sercem. Nie wyzbywają się religji, lecz czują, że ona winna być motorem czynu. Kler i większa własność mogą być spokojni; to nie brutalna fala, która w bezmyślnym pędzie ma ich zmieść z powierzchni narodowego życia; to tylko objaw żywiołowego a tak upragnionego przypływu nowych sił, wyrywających się do obywatelskiego życia, stających ochoczo do odrobienia zaległej roboty, na polu ekonomicznym i kulturalnym, to zaranie chwili, w której „lud się stanie narodem". Tyle o prasie ludowej, kierunkach przez nią reprezentowanych i wpływie jej na lud, powiedziano w tym źródłowo opracowanym artykule.

Sądzę, że czytelnicy będą radzi, że ich zapoznałem z tą trafną krytyką naszej ludowej prasy, której poszczególne organy w miarę uświadamiania ludowego nabierać będzie znaczenia lub je tracić. Dla orjentowania się w przejawach myśli ludowej koniecznym jest, aby ten odłam żywej inteligiencji, który wierzy „że zbawienie leży pod siermięgą, jak ta w popiele iskra skryta", wiedział, jaką strawą duchową i przez jakie pisma karmionym jest lub zatruwanym duch i umysł ludu.

St. Poraj.

Z PRASY POLSKIEJ.

Bez reklam i nęcących obietnic najpoważniejszy społeczno - literacki miesięcznik *Kultura*, kierowany i wydawany przez Zenona Pietkiewicza, rozpoczął drugi rok istnienia. Ani kłopoty materjalne, ani choroba redaktora, ani zamknięcie drukarni nie wpłynęły na wartość pisma. Obecnie wyszedł zeszyt podwójny za październik i listopad (t. IV, zesz. 10 11), zawierający solidne prace Zygmunta Pietkiewicza, Wasilewskiego, Grosmana, M. Walewskiej, Kurnatowskiego, Lewińskiego i inn. Wstępny artykuł Wasilewskiego gruntownie rozpatruje nowe prądy w stosunkach polsko-rusińskich. Porusza tu autor kwestje rozwoju żywiołu polskiego w Galicji Wschodniej, procesu asymilacji rusińskiej, powstania samodzielnego ruchu kulturalnego; analizuje formy przejawu ruchu politycznego małoruskiego i młodomoskalofilskiego, który zdobywa wielkie znaczenie wskutek zbliżenia się z polskimi nacjonalistami — „takimiż samymi, jak i moskalofile wrogami rusińskiego ruchu narodowego pod hasłem ukraińskim".

Artykuł, Z. Pietkiewicza napisany z wielką siłą, wytwornym stylem — należy do najudatniejszych z tych, które się zjawiły u nas w sprawie „ruchu młodotureckiego".

Autor treściwie przegląda „mgły wieków ubiegłych, jakie w umyśle polskim wznawia przewrót polityczny w Turcji" i analizuje „chorego człowieka", w którym widzi znamiona choroby, trawiącej Polskę przedtargowicką. Ale uważa, iż położenie tej ostatniej było gorsze, niż dzisiejszej Młodoturcji. Anglja protestowała przeciwko rozbiorowi Polski 100,000-ami podpisów swych obywateli, bo nie mogła jeszcze zaważyć na szali dziejów jak obecnie... „Być może, iż będziemy świadkami tej przedziwnej sztuki saperskiej, która do podkopu pod gmach nadziei kontynentalnych reakcjonistów i kolonizatorów „pokojowych" używa nie „fugasów", lecz miny wolności narodowej. Do tego zdolną jest tylko Anglja, która buduje sobie łącznik i tamę ochronną — z wolności ludów! Wymieniwszy z Turcją opieką nad jej rozwojem politycznym za prawo aneksji Egiptu, który przywiąże do siebie autonomję, ofiarowaną w duchu nacjonalistów egipskich, przejdzie z kolei do Indji, wrzących ruchem emancypacyjnym, żeby je również przywiązać do siebie — autonomją". Polityka Hohenzollernów tymczasem idzie na przełaj wszystkim dążeniom konstytucyjnym Turcji, Persji i Rosji pod wtór symbolów „baśni sardanapalowej". Balet ten, wystawiony przez Wilhelma, był *mszą* jego duszy autokratycznej, był razem klątwą przeciw Turkom i niepodlegle myślącym obywatelom jego własnego państwa". Podobnież myślą i inne mocarstwa, patrzące na rozbiór Turcji, z myślami analogicznymi przy naszych podziałach, prowadząc „oblężenia" dziejowe na szkodę sobie... „Cały ten koszmar prowokacyjny jest olbrzymim kafarem, pod który wzięto zbiorową pierś Turcji, której życzymy bohaterskiego przetrwania tej ciężkiej godziny próby". „Życzymy, kończy pan Pietkiewicz swój artykuł, Turcji zwycięstwa w zwołaniu izby ustawodawczej, jeszcze i przez pamięć na to, że ona była jedynym państwem w Europie, które miało odwagę nie uznać rozbioru Polski, jak również za to, że temu, który się czuł miljonem, gościnny dała przytułek. Niech duch Mickiewicza... stanie się patronem jej odrodzenia w wolności".

Wogóle — wszystkie studja, umieszczane w *Kulturze* cechuje wysoki humanizm europejskiej miary, przetrawienie do gruntu każdego tematu, szczere stanowisko ludzi wolnej myśli, szanujących nawet wrogie kapliczki idejowe, o ile w nich duch i forma nie są zaprzeczeniem kultury.

W dziale „Przegląd czasopism obcych" umieszczono sprawozdanie p. Kurnatowskiego o słynnym Leo Taxile, z książki wydanej nakładem *Wolnej Myszlenki*. Jest to nowy dokument „nieomylności papieskiej" Leona XIII, który w liście „Humanum genus" przeklął wolnomularzy, o których Taxil takie pisał zmyślone dziwy w ciągu lat 20-u, za co uzyskał audjencję i komplementy hrabiego Pecci.

Życzymy więc koledze powodzenia i sił — do krzewienia kultury w społeczeństwie... ślepych wodzów.

A.

Memorabilja polityczne.

Warszawa, 15 grudnia.

Sytuacja polityczna w ubiegłym tygodniu przedstawiała się niby trochę spokojniej, skutkiem zmiany frontu ze strony Austrji. Takie poglądy przeważają szczególnie w Petersburgu, gdzie idzie o wzbudzenie przekonania o skuteczności akcji p. Izwolskiego, oraz w Wiedniu, gdzie wciąż zapatrują się na kwestję wschodnią przez różowe szkła. Dość jednomyślna opinja angielska uważa, iż Europa znajduje się w stanie równowagi chwiejnej i przewrót lada chwila może nastąpić. Pewność pokoju zniknęła i naprężenie stosunków międzynarodowych wzrastać będzie, dopóki antagonizmy nagromadzone nie znikną dzięki wpływom pojednawczym, lub nie wyładują się w wybuchu wojennym.

Poczucia bezpieczeństwa, jakie panowało na kontynencie europejskim przez długi okres czasu, nie przerywały walki, toczone w innych częściach świata. Utrzymywały to poczucie i Niemcy, pewne że stopniowo coraz bardziej kierunek polityki ogólnej przejdzie w ich ręce. Przeciw tym dążeniom skierowana jest polityka króla Edwarda VII. Zawarcie Entente cordiale i zbliżenie anglo-rosyjskie zamieniło sytuację zupełnie. Ostrze metody bismarkowskiej zwróciło się przeciw polityce berlińskiej. Francja i Anglja zapragnęły bezpieczeństwa, opartego na solidniejszych i szerszych podstawach. Do tego samego dążyła i Rosja po wyjściu z awantury mandżurskiej. W organizacji przymierzy i porozumień, okrążających Niemcy, nie było celów zaczepnych, lecz Niemcy zaczęły się obawiać, że przyszłość może nie do nich całkowicie należeć; korzyści dalszego utrzymania pokoju zostały tedy zakwestjonowane. Zabójczy „interview" Wilhelma II rzucił jaskrawe światło na psychologję tego monarchy, gdyż wykazał, że dla niego istniejące warunki pokoju wydają się nieznośnymi. Spostrzeżono, że tak zmienny i impulsywny charakter zdolny jest w każdej chwili do postanowień i czynów nie dających się nawet przewidzieć.

Wobec zagadkowego charakteru Wilhelma II rodzi się wątpliwość, czy gwarancje konstytucyjne, o które dobija się parlament niemiecki, nie pozostaną tylko zabezpieczeniem papierowym, jeśli wogóle zresztą będą kiedykolwiek utrwalone na papierze. Należy przytym zauważyć dobrze tę wysoce znamienną okoliczność, że naród niemiecki chce wprawdzie pozbyć się osobistych rządów cesarza, lecz jednocześnie ani myśli rozstawać się z tym, co było celem jego polityki. Wszechświatowa ekspansja morska są to teraz tak jak i poprzednio ideały Niemców. Nie czyny cesarza, lecz tylko nieroztropność im towarzysząca podlega krytyce. Przypomnijmy sobie kampanję prasy niemieckiej przeciw Polakom, manifestację studentów i profesorów berlińskich przeciw Czechom, oraz wszystko to, co w artykułach, popierających rządowe projekty uzbrojeń morskich, pisano przeciw Anglji. Na tym właśnie polega niebezpieczeństwo obecnej sytuacji, że duch, w którym wychowano poddanych Wilhelma II jest również dla pokoju europejskiego niebezpieczny, jak i osobisty temperament tego monarchy.

Cesarstwo niemieckie jest wytworem siły i potęgi militarnej, a nad wytrenowaniem narodu w bezgranicznym uwielbieniu tej potęgi pracowały takie osobistości jak Bismarck, Wagner i znane figury hakatystów.

Są to, jak się zdaje, słuszne powody, dla których negocjacje nawiązane już napewno przez ambasadora austryjackiego, margrabiego Pallavicini, z rządem tureckim, nie mogą być uważane za niewzruszoną rękojmię pokoju. Za Austrją bowiem stoją Niemcy, jak to niedawno oświadczył ks. Bülow. Wszystko zatym zależy od usposobienia, jakie w danej chwili ożywiać będzie tych, co decydują o bierniku polityki niemieckiej, oraz od innych jeszcze okoliczności, o których tym razem mówić już nie mamy miejsca.

St. P.

KRONIKA.

— Ambasadorowie rosyjski i angielski złożyli szachowi memorandum, w którym przypominają mu o danych obietnicach i zaznaczają, że mianowanej przez niego rady nie mogą uważać za przedstawicielstwo narodowe, zastępujące parlament i świadczące o wznowieniu konstytucyjnego porządku

— Ostatnia katastrofa kopalniana w Niemczech obudziła wzburzenie wśród niemieckich górników. Zanosi się na strajk we wszystkich niemieckich kopalniach węgla.

— Najstarszy parlament europejski, t. j. angielska izba gmin wysłała telegram z życzeniami do najmłodszego, czyli tureckiego parlamentu.

— Na Kaukazie — w szczególności w Kutaisie było silne trzęsienie ziemi.

— Narodowo-demokratyczni studenci lwowscy, protestując przeciw utworzeniu dwuch nowych katedr rusińskich w uniwersytecie lwowskim, obrzucili namiestnika Bobrzyńskiego zgniłymi jajami.

— Zmarł Józef Pawłowski, artysta malarz i założyciel Salonu artystycznego.

— W r. b. istniało w Królestwie Polskim 524 skarbowych kas oszczędności. Pod względem liczebności tych kas Król. Pol. zajmuje w państwie pierwsze miejsce, gdyż jedna przypada na 15 w. kw. Natomiast zajmuje przedostatnie co do ilości sum w nich złożonych. Tłumaczy się to tym, iż obok nich istnieje przeszło 1000 kas gminnych i około 100 instytucji drobnego kredytu. W kasach skarbowych znajduje się blisko 40 miljonów na książeczkach, w pocztowo-telegraficznych 8 mil. a w fabrycznych 58 tys. rb.

— Komisja oświatowa Dumy w swej większości oświadczyła się za zezwoleniem otwierania nowych szkół nawet prywatnym osobom wprost systemem meldunkowym.

— Do Turkestanu wydelegowano hr. Pahlena dla dokonania rewizji senatorskiej Wykrył on niesły-[illegible] nadużycia i zmuszony został oddać pod sąd [illegible] wielu przedstawicieli władzy miejscowej

— Bibljoteka Dzieł wyborowych urządza wśród swych czytelników ankietę, dotyczącą kierunku planu wydawnictwa. Czytelnicy proszeni są o nadsyłanie uwag o dziełach już wydanych i życzeń co do dalszego wyboru rodzaju książek najbardziej pożądanych i poczytnych.

— Komitet młodoturecki oświadczył, że bojkot towarów austryjackich [illegible] przerwany dopiero wtedy, gdy Austrja zapłaci odszkodowanie za aneksję Bośni i Hercegowiny.

— Studenci niemieccy w Niemczech i Austrji chcieli na cześć Franciszka Józefa urządzić korowody z pochodniami. Cesarz zaoponował przeciw temu, gdyż nie chce, aby studenci narażali się w obecnej [illegible] roku na przeziębienie. Przypuszczać wolno, że monarcha obawia się raczej rozgorączkowania takiego, jakie przebyła młodzież w Pradze czeskiej.

— Po ogłoszeniu przez „Głos Płocki" kwestjonarjusza w sprawach gminnych, redaktor tegoż pisma p. Wacław Kryński wysłany został z kraju na czas trwania ochrony wszystkich stopni. Obecnie „Głos" podpisuje p. Jan Święcicki, adwokat przysięgły — pismo nadal wychodzi.

— Chcąc otrzymać dla swej gminy wyznaniowej rozszerzenie praw, marjawici delegowali do Dumy dwuch swoich przedstawicieli Kowalskiego i Próchniewskiego. Delegaci w dn. 9 b. m. byli przychylnie przyjęci przez kierownika frakcji październikowców Guczkowa i przewodniczącego komisji wyznań Kamieńskiego; zostali zaproszeni na posiedzenie tej komisji. Deputowany ks. Maciejewicz udziału w komisji odmówił. W klubie działaczy społecznych ma być wygłoszony odczyt o marjawitach przez członka klubu Kobińskiego. W spodziewanej dyskusji wezmą udział marjawici, katolicy zaś udziału w niej nie [illegible]

— Słynny pułkownik Lachow ma być odwołany z Teheranu

— Z Londynu donoszą, iż 15 b. m. Izba gmin uchwaliła 264 głosami przeciwko 89 projekt ustawodawczy o 8 godzinnym dniu roboczym dla górników.

— W d. 12 b. m. w Pradze i okolicy zniesiono sądy doraźne i zakazano studentom noszenia barw.

— Z powodu nieporozumień dyplomatycznych pomiędzy Holandją i Wenezuelą, dwa okręty wojenne holenderskie wysłano ku brzegom Wenezueli.

— W dniu 11 b. m. Duma państwowa uchwaliła zaciągnięcie pożyczki zewnętrznej w sumie 40 mil. rb.

— Otwarcie parlamentu tureckiego ma nastąpić nieodwołalnie w dn. 17 b. m.

Książki nadesłane do Redakcji.

— R. E. Emerson: „Przedstawiciele ludzkości". Warszawa, Gebethner i Spółka.

— Cyprjan Kamil Norwid: „O Juljuszu Słowackim" wyd. drugie. Warszawa, Nakł. Gebethner i Wolff.

— Savitri: „Poezje". Warszawa Geb. i Wolff.

— Zofja Bukowiecka: „Pamiętniki Beniowskiego, Syberja. Daleki Wschód. Madagaskar" z ilustracjami K. Górskiego. Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa.

— I. G. Gould: „Dzieci matki-przyrody" pogadanki z życia zwierząt i roślin. Przekład z angielsk. z ilustr. Warszawa, Nakład Geb. i Wolffa.

— Walery Przyborowski: „Pod Stoczkiem". Powieść historyczna z r. 1831. Ilustr. K. Górskiego. Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa.

— Marja Weryho: „W zimie", książeczka dla małych dzieci, z rycinami St. Sawiczewskiego, wyd. drugie. Warszawa, Nakl Geb. i Wolffa.

— J. Warnkówna i L. Jahołkowska: „W ogródku dziecięcym", zbiór zabaw, marszów i piosenek, wyd. trzecie. Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa.

— Teodor Volbehr: „Król Bob". Opowiadanie z puszczy Afrykańskiej, z rycinami Pawła Neumanna Warszawa, nakł. Geb. i Wolffa.

— Juljusz Verne: Pisma, tom I. „Podróż naokoło świata w 80 dniach", wyd. nowe illustr.

Tom II i III. „Piętnastoletni kapitan", wyd. nowe illustrowane.

Tom IV. „Pięciotygodniowa podróż balonem nad Afryką", wyd. nowe, illustr.

Tom V. „Czarne Indje", powieść, wyd. nowe. illus.

Tom VI. „Gwiazda Południa", powieść, wyd. nowe illustr. Warszawa, Nakł. Gebethnera i Wolffa.

— Tadeusz Michalski: „Młoda Ukraina". Kijów.

— J. Warnkówna i L. Jahołkowska: „W ogródku dziecięcym". Zbiór zabaw marszów i piosenek. Część II wyd. III. Nakład Geb. i Wolffa w Warszawie.

— Władysława Izdebska: „O Naszym królu tułaczu". Warszawa, M. Arct.

— „Mały bohater". Przekład z angielskiego. Warszawa, M. Arct.

— Anna Zielińska: „Syn Ukrainy". War. M. Arct.

— Zofja Kowerska: „Dzielny chłopiec". Warszawa M. Arct.

— Janina Piasecka: „Przygody Wojtaszka". War. M. Arct.

— Klementyna Hoffmanowa: „Nocleg w Kromołowie". Warsz. M. Arct.

— Z. Morawska: „Opowiadania z dziejów ojczystych dla domu i szkoły". Warsz. M. Arct.

— A. Głotzówna: „Ładniutkie powiastki". Warsz M. Arct

— Ed. Amicis: „Pamiętnik chłopca". Warsz. M. Arct

— Marja Bujno: „Pałac z piasku". War. M. Arct.

— Desbenu: „O czym się Janek dowiedział". War. M. Arct.

— Karol Ewald: „Nowe opowiadania". M. Arct, Warsz.

— Jerzy Orwicz: „Młodość wodza narodu". War. [illegible]

— W. Przyborowski: „Młodzi gwardziści". War. M. Arct

— W. Przyborowski: „Reduta woli". War. M. Arct.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy"

(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 5 — 7 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyj- [illegible]

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszelkie księgarnie, kioski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop.20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 2 i od 4 do 7 pp.

Wydawca: Wincenty Biskupski. Redaktor: Roman Nowakowski.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.